Dziś w numerze: ● A. MAKOWIECKI **Tango na zapustach** ● M. WAWRZKIEWICZ **Dzikie trawy** ● R. GLUTH I K. BADZIAK **O Walewskiej i Kiernozi** ● **Sznur pereł** ● **Felietony** ● **Recenzje**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA HONOROWA M. ŁODZI

3 (585)
19. I. 1969
12 stron
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. E. Czapliński

JERZY DARNAL

Styczeń

Ten styczeń żyje jeszcze w pamięci: pełen skrzypiącego śniegu i rozbitego szkła, dymu żołnierskiej machorki ze skrętów i zapachu gorzały, której nikt sobie wtedy nie żałował. Z rozbitych sklepów niemieckich ludzie wynosili cukier, sypali do czajników i gotowali bimber dla swoich i na poczęstunek; na ulicach grzechotały gąsienice tanków i z wolna cichły odgłosy frontu, który przesuwał się na zachód, ku Berlinowi.

Moja sąsiadka, pani Gapińska, powiada: „Bo kiedy nas tak późnym listopadem w czterdziestym czwartym Niemcy pod karabinami wywieźli do kopania rowów nad Pilicę myślałam, że już nie dożyję tej chwili, kiedy przyjdą nasi i skończy się wojna. Ziemia była zmarznięta, twarda, ale gestapowcy nie dawali nam wytchnienia, z pół Łodzi tak pognali do ratowania Hitlera. Ale myśmy wiedzieli, że nic go już nie uratuje i myśleliśmy sobie jeszcze, że nie rowy kopiemy, ale grób dla tysiącletniej Rzeszy. I dlatego chciało się żyć, doczekać tego momentu".

W Litzmannstadt, pełnej jeszcze volksdeutschów i reichsdeutschów, którzy masowo napływali tu z bombardowanych przez aliantów miast niemieckich, narodowi socjaliści wciąż ufali hitlerowskiej propagandzie, wierzyli w „cudowną broń" lub pocieszali się, że Rosjanie nie sforsują Wisły. Volksdeutsche obiecywali Polakom, że zdążą ich wytępić przed odejściem a miasto zostanie zrównane z ziemią jak Warszawa. Rozchodziły się wieści o podminowaniu całych dzielnic i na ulicach wystawiono drogowskazy z niemieckimi napisami: „Tędy ewakuować się". Chyba żadne obwieszczenie okupanta nie sprawiło ludziom tyle radości, co te strzałki z desek przybite do drewnianych słupów, obrócone ramionami na zachód. Chociaż front rozciągnięty na linii Wisły jeszcze milczał. I Nowy Rok, 1945, szósty rok okupacji, witało się lękliwie nasłuchując co chwila, czy do drzwi nie załomoczą żandarmi.

12 stycznia od wschodu przemówiły katiusze. Od Bałtyku po Karpaty wojska radzieckie rozpoczęły natarcie, które miało przynieść wolność wszystkim polskim ziemiom. Do Łodzi wiadomość o ofensywie dotarła z dwudniowym opóźnieniem, na łamach „Litzmannstädter Zeitung", ale szeptali sobie ją już wcześniej zarówno Niemcy jak i Polacy, którzy mieli dostęp do radioodbiorników. Tego dnia pociągi do Generalnej Guberni już nie odeszły i pośpiesznie organizowano szpitale dla rannych żołnierzy Wehrmachtu, których zaczęto zwozić z coraz już bliższego frontu. Wolność nadchodziła do miasta ogromnym łukiem: 15 stycznia Armia Czerwona wyzwoliła Radom i Kielce, w dwa dni później Warszawę, Częstochowę, Radomsko i Przedbórz, 18 stycznia polskie flagi załopotały w Modlinie i Piotrkowie, 19 stycznia wojska radzieckie wkroczyły do Łodzi. Taki był kalendarz tego niezwykłego stycznia roku 1945, gdy każdy dzień, każda godzina niemal przybliżały wolność nadchodzącą w huku dział i ryku silników lotniczych, w wybuchach bomb i dymie pożarów.

Dalszy ciąg na str. 4

ŁÓDŹ wczoraj, dziś i jutro

ROZMAWIAMY
Z PRZEWODNICZĄCYM PREZYDIUM
RN M. ŁODZI
mgr EDWARDEM KAŹMIERCZAKIEM

— 19 stycznia 1969 roku przynosi dwudziestą czwartą rocznicę wyzwolenia Łodzi. Rok 1969 jest jubileuszowym rokiem 25-lecia Polski Ludowej. To okazja upoważniająca do podsumowań. W okresie międzywojennym Łódź była w dziedzinie gospodarki komunalnej jednym z najbardziej upośledzonych miast w kraju. Jak Pan Przewodniczący ocenia przemiany, które nastąpiły w naszym mieście na przestrzeni bez mała ćwierćwiecza?

— Same działania wojenne spowodowały w Łodzi stosunkowo mało zniszczeń, niemniej okupant prowadził tu gospodarkę rabunkową nawet w dziedzinie cenionego przezeń przemysłu, który w dużym stopniu został zdewastowany. W dodatku miasto obciążone było skutkami przedwojennej prywatnej gospodarki wielkokapitalistycznej — złym stanem budownictwa, całkowitym brakiem sieci wodociągowej z rozpoczętą zaledwie budową sieci kanalizacyjnej. Wielkość miasta nie odpowiadała jego funkcjom, nie służyła w żadnym stopniu zapewnieniu odpowiednich warunków bytowych ludności.

Ten cały „spadek" odziedziczyły pierwsze powojenne władze miasta. Jeśli przypomnimy jeszcze fakt, że zaraz po wojnie granice miasta powiększyły się prawie czterokrotnie, w stosunku do granic przedwojennych (przed wojną obszar miasta zajmował około 57 kilometrów kwadratowych, po wojnie — 212 kilometrów), że Łódź musiała przyjąć nie tylko powracających tu łodzian, ale i warszawian i przybyszów z innych terenów, że przez pewien czas spełniała funkcje stolicy dając siedzibę urzędom centralnym, różnym instytucjom i placówkom, to będziemy mieli pełny obraz trudności, przed którymi te władze stanęły.

Tymczasem wyniszczony wojną kraj potrzebował wszystkiego, a w pierwszym rzędzie produkcji przemysłu lekkiego.

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Rząd francuski wprowadził całkowite embargo na dostawy sprzętu wojskowego dla Izraela. Wyjaśniając tę decyzję minister informacji — Theule stwierdził:

„Operacja dokonana przeciwko terenom lotniczym Bejrutu, operacja, która została jednomyślnie potępiona przez Radę Bezpieczeństwa i cały świat, jest dla rządu francuskiego czynem nie do przyjęcia i aktem na który nie można znaleźć odpowiednich słów".
„Nie chcemy — powiedział on także — aby konflikt przekształcił się na Bliskim Wschodzie w krwawy chaos".

Rzecznik rządu przypomniał następnie, że Izrael atakując urządzenia cywilne Libanu posłużył się helikopterami produkcji francuskiej. Jak bowiem wiadomo — Francja do izraelskiej agresji w czerwcu 1967 roku była głównym dostawcą broni dla tego kraju. Po tym agresywnym akcie wstrzymała sprzedaż samolotów „Mirage", teraz natomiast przerwała dostawy całkowicie.

Krok ten, będący formą protestu przeciwko militarnemu awanturnictwu Izraela, jest logicznym, następstwem polityki francuskiej, zmierzającej do przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie. Ale właśnie dlatego wywołał on gwałtowny atak Tel Avivu na de Gaulle'a, a podjęty następnie przez pozaizraelskie ośrodki syjonistyczne. Premier Eszkol pozwolił sobie nawet na stwierdzenie, że „obecna polityka rządu francuskiego nie da się utrzymać", a Francja „nie może już odgrywać roli pośrednika na Bliskim Wschodzie". Oczywiście, prasa izraelska oskarżyła prezydenta Francji o... antysemityzm.

Konflikt bliskowschodni zajmuje w dalszym ciągu czołowe miejsca w światowej prasie. Komentatorzy snują domysły co do skutków ożywionej działalności dyplomatycznej wielkich mocarstw i planów rozwiązania problemu. Wyrażane jest powszechne przekonanie, że punktem wyjścia musi być ewakuacja wojsk Izraela z okupowanych terenów. Sugeruje się, aby także Stany Zjednoczone — główny przecież protektor Izraela — poszły śladem Francji, w przerwaniu dostaw broni.

Tymczasem przywódcy państwa izraelskiego licytują się w oświadczeniach, że nie będzie powrotu do sytuacji sprzed wojny czerwcowej i linie przerwania ognia nie ulegną zmianie. Jeśli Izrael trwać będzie na tym stanowisku, odmawiając nadal pokojowego rozwiązania konfliktu, może kiedyś zapłacić wysoką cenę za swą obecną politykę.

W minionym tygodniu Paryż zwrócił uwagę opinii publicznej również jako miejsce obrad radziecko-francuskiej komisji do spraw współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Powołano ją do życia po rozmowach prezydenta de Gaulle'a w Moskwie przed z górą dwoma laty, a obecna sesja była już trzecią. Poza współpracą w dziedzinie przemysłu, nauki i techniki dyskutowano również, przyjmując konkretne ustalenia, o współdziałaniu w ochronie zdrowia.

Obrady tej „wielkiej komisji" oceniane są przede wszystkim w aspekcie politycznym. Podkreślił to na konferencji prasowej minister Debre, uwypukliła prasa radziecka.

Dziennik „Izwiestia" stwierdza na przykład:
„Istnienie dobrej woli obu stron pozwala skutecznie usuwać przeszkody, wynikające chociażby z powodu różnicy systemów ekonomicznych... Sprzyja to umocnieniu dobrych, opartych na wzajemnym zaufaniu, stosunków między Francją i ZSRR, a to z kolei ma pozytywny wpływ na sytuację polityczną w Europie i w świecie... Francja i Związek Radziecki kroczą drogą przyjaźni i współpracy".

W sytuacji napięcia na Bliskim Wschodzie, ciągle jeszcze nie rozpoczętych rozmów czterostronnych w sprawie Wietnamu oraz utrzymywania przez Bonn odwetowego kursu polityki zachodnioniemieckiej, ma to niezwykle ważne znaczenie.

Trzecie wydarzenie ostatnich dni — to nadawanie realnych kształtów federalizacji Czechosłowacji. Przypomnimy, że od 1 stycznia Czechosłowacja jest państwem, składającym się z dwóch równoprawnych republik, mających także swoje, republikańskie rządy. Na czele nich stoją: Słowak — Sztefan Sadovsky i Czech — Stanislav Razl, na czele zaś rządu federacyjnego — Oldrzich Czernik.

Działać będą również dwa parlamenty krajowe: Słowacka i Czeska Rady Narodowe, a parlament federalny składać się będzie z dwóch izb: jednej, wybieranej proporcjonalnie do liczby mieszkańców i drugiej, w której w równej liczbie zasiądą przedstawiciele narodów czeskiego i słowackiego.

Na przewodniczącego Zgromadzenia Federalnego desygnowano Słowaka prof. Petera Colotkę, dotychczasowego wicepremiera rządu federalnego, prawnika z wykształcenia.

Zanim to jednak nastąpiło Czechosłowacja była widownią ostrych wewnętrznych napięć. Wobec bowiem, faktu, że zarówno prezydentem państwa, jak i premierem rządu federalnego są Czesi — na trzecie najwyższe stanowisko państwowe uznano za słuszne rekomendować Słowaka. Jest to jednak równoznaczne z odejściem z dotychczasowej funkcji — J. Smrkovskiego. I właśnie wokół jego osoby rozpętano wielką kampanię, która ogarnęła niektóre zakłady pracy oraz prasę, radio i telewizję. Metalowcy czescy zagrozili nawet strajkiem, jeśli Smrkovski nie pozostanie na swym dotychczasowym stanowisku.

Kres namiętnościom, podsycanym przez ośrodki prawicowe, położyło dopiero oświadczenie Prezydium KC KPCz, zalecając wybór na przewodniczącego Zgromadzenia Federalnego prof. Colotki, Smrkovskiego zaś desygnując na przewodniczącego jednej z dwu — izby parlamentu (Izby Ludowej) i pierwszego wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Federalnego.

W. SŁAWSKI

JERZY WILMAŃSKI

Inne „GŁOSY"...

„Głos Robotniczy" zna dobrze od przeszło dwudziestu lat łódzki czytelnik. Dla tych setek tysięcy czytelników hasło „Głos Robotniczy" kojarzy się tylko z tą właśnie określoną, znaną łódzką gazetą.

A przecież w wieloletniej historii polskiej prasy — prasy rewolucyjnej i robotniczej — nazwa: „Głos Robotniczy" przewijała się nieraz. Myślę, że warto dzisiejszemu czytelnikowi przypomnieć tamte historyczne, znane tylko szperaczom archiwalnym gazety, noszące bliski dla łodzian tytuł.

Otóż w marcu 1917 roku powstał w Wilnie polski tygodnik „Głos Robotniczy", organ Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Litwy i Białorusi. Współpracowali z nim tacy m.in. działacze jak np. Feliks Bobiński — znany bojownik polskiego ruchu robotniczego — filozof i publicysta. W czasie Rewolucji Październikowej Bobiński dowodził oddziałem rewolucyjnym, potem wraz z delegacją radziecką uczestniczył w konferencji pokojowej w Brześciu. Później w roku 1922 był organizatorem i rektorem Uralskiego Uniwersytetu Komunistycznego w Swierdłowsku. Kierował następnie pierwszą szkołą partyjną dla działaczy KPP w Kraskowie pod Moskwą.

Z wileńskim „Głosem Robotniczym" współpracował także Kazimierz Cichowski — działacz polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, uczestnik Rewolucji Październikowej i organizator Komunistycznej Partii Galicji Wschodniej, członek KC KPP, sekretarz Komunistycznej Frakcji Poselskiej w Sejmie, potem skazany przez władze ówczesnej Rzeczypospolitej w tzw. procesie świętojurskim. W latach wojny domowej w Hiszpanii organizował brygady międzynarodowe.

Ale przed wileńskim „Głosem" był jeszcze socjalistyczny „Głos Robotniczy" wychodzący w Warszawie w latach 1916—1918. Było to pismo PPS-Lewicy, która jak wiadomo później wspólnie z SDKPiL stworzyła Komunistyczną Partię Polski.

Jeszcze w listopadzie 1917 roku warszawski „Głos Robotniczy" pisał w artykule „Wulkan rewolucyjny" o tym, żeby „organicznie i czynnie współpracować z bolszewikami" wbrew stanowisku ówczesnego Centralnego Komitetu Wykonawczego, które polegało na „usuwaniu, bojkotowaniu lub sabotowaniu bolszewików". A więc na blisko rok przed powstaniem KPP organ warszawskich socjalistów „Głos Robotniczy" mówił jasno o tym, gdzie jest polityczne miejsce polskiej klasy robotniczej, polskiego ruchu robotniczego — po jakiej stronie barykady.

Czy jednak w Łodzi nie było nigdy „Głosu Robotniczego" — zapytać może czytelnik. Owszem był i to nie jeden. Otóż w połowie 1915 roku ukazała się w Łodzi jednodniówka — „Głos Robotniczy". Było to wydawnictwo Rady Międzypartyjnej PPS-Lewicy i SDKPiL. Jednodniówka ta kosztowała 4 kopiejki. Tyle o niej wiadomo, niestety nie zachował się żaden egzemplarz tego wydawnictwa. Było to bowiem wydawnictwo konspiracyjne.

Jeszcze wcześniej, bo w roku 1914 ukazał się w Łodzi „Głos Robotniczy" — pismo poświęcone sprawie robotniczej. I to pismo wydano nielegalnie, konspiracyjnie.

W historii polskiej prasy mamy — właśnie w Łodzi — jeszcze jeden „Głos Robotniczy". I to wydawnictwo należy odnotować. Przedtem jednak kilka słów o partii, której był organem. Nosiła ona nazwę Narodowej Partii Robotniczej — było to prawicowe ugrupowanie robotnicze działające w latach 1920—1937. „Głos Robotniczy" był właśnie w latach 1927 i później tygodniowym organem NPR. Partia ta domagała się m. in. jednoizbowego parlamentu, swobód politycznych, powszechnego nauczania, postulowała stopniowe uspołecznienie środków produkcji...

Tyle słów o poprzednikach „Głosu Robotniczego" — dzisiaj znanej codziennej gazety, towarzyszącej tysiącom łodzian na co dzień i od święta.

Bibliografia:

Andrzej Sliz „Prasa polska w Rosji w dobie wojny domowej 1915—1919", Książka i Wiedza 1968.

Wiesława Kaszubina „Bibliografia prasy łódzkiej 1863—1944" PWN 1967.

W NASTĘPNYM NUMERZE

SENSACYJNE OPOWIADANIE

ERSKINA CALDWELLA

„SYLWIA"

Listy do Redakcji

Szanowna Redakcjo!

Parę słów w związku z ogłoszonym w numerze świątecznym „Odgłosów" cyklem portretów „Łodzianie 1968 roku".

Pierwsze miejsce przyznałabym p. Marianowi Piechalowi przez sympatię Jego do naszego miasta, miasta które go nie zamieniłabym na żadne inne miasto świata.

Drugie miejsce przyznałabym p. dr Krysińskiej za Jej wzorowe wypełnianie swoich obowiązków. A za miłość do pacjentów i oddanie zyska na pewno ich wzajemność co będzie dodatkową, radosną nagrodą.

Trzecie — dla p. Debicha choć byłam w rozterce czy nie przyznać pierwszego miejsca za b. częste, miłe i rozśpiewane (muzyką) godziny przy mojej pracy. Bo przyznam się, że radio zawsze mi towarzyszy po powrocie z pracy. Chciałabym także aby tutaj, może nie bardzo właściwe na tym miejscu, wyrazić moje serdeczne podziękowania p. Debichowej za Jej wdzięczny śpiew.

Łódź, 26.XII.68

Z. Zalasa

PS. Uważam, że p. Jerzy Krawczyk pięknie postąpił, ale czy uczciwość jest tak rzadka w naszym mieście, żeby pretendowała aż do takiego wyróżnienia?

• • •

Szanowna Redakcjo!

Kiedy kilka lat temu brałem do ręki „Odgłosy", byłem przekonany, że to jest tygodnik nie tylko dla Łodzi, ale dla całego województwa łódzkiego. Zaprenumerowałem nawet „Odgłosy", ale byłem rozczarowany, więc później już nie prenumerowałem „Odgłosów", lecz tylko od czasu do czasu kupowałem w kiosku. Odniosłem bowiem wrażenie, że „Odgłosy" są pismem dla elity, ot, łódzkiej elity, chociaż to odczucie trudno mi było uzasadnić.

Od tego czasu „Odgłosy" zmieniły się znacznie na lepsze, ale nie wszystko mi się jeszcze w tym piśmie podoba. I o tym właśnie chciałbym dziś napisać.

Odczuwam przesyt spraw dotyczących Wielkiej Łodzi. Tylko w Łodzi, łódzkie, jakby „Odgłosy" były pismem tylko Łodzi, a już wcale nie dla Wielunia, Wieruszowa, Pajęczna.

Czego nie znalazłem (chociaż bardzo chciałbym znaleźć)w „Odgłosach"? Właśnie takiego artykułu, reportażu czy informacji, które zmusiłyby mnie do chwycenia za pióro i napisania listu do Redakcji. Przepraszam... W tym numerze „Ankieta" i „Do Czytelników" do tego mnie zmusiły. Ale artykuł, reportaż ... — nie. A szkoda. Mnie się wydaje, że jeśli w tygodniku czy innym czasopiśmie brakuje listów z terenu, listów czytelników, to pismo to jest jak człowiek bez oka lub ucha — trochę kalekie. Coś mu brakuje. I dlatego, moim zdaniem, „Odgłosy" powinny zamieszczać na swych łamach więcej artykułów dyskusyjnych, polemicznych i nie powinny się bać zamieszczać na swych łamach wypowiedzi czytelników. Jestem przekonany, że często właśnie czytelnicy (ci zwykli ludzie z terenu) też mają coś mądrego do powiedzenia na temat tego, o czym piszą dziennikarze, felietoniści, ludzie pióra.

WALENTY JARECKI

• • •

Szanowna Redakcjo!

Bardzo podobał się nam pomysł umieszczenia w „Odgłosach" ankiety. Jest tylko jedna zasadnicza trudność — na tej ilości miejsca, jaką zostawiliście na odpowiedzi, trudno w ogóle się wypowiedzieć. Dlatego też kilka naszych uwag przesyłamy w tym liście. Bardzo cenimy p. Andrzeja Makowieckiego i p. Karola Badziaka za artykuły poświęcone KMPiK i Klubowi pod siódemkami. Przydałoby się więcej artykułów tego typu. Jeżeli idzie o stałe rubryki to najbardziej cenimy „Notatnik kulturalny" p. Jerzego Widoka za dowcip i prawdziwe zainteresowanie problemami Łodzi. Natomiast jeśli idzie o rubrykę „Bez strachu" to najprawdopodobniej do niej nie dorosłyśmy, bo często nie rozumiemy o co p. Sztajnertowi chodzi.

Jeżeli chodzi o szatę graficzną „Odgłosów", to uważamy, że jest ona udana. Jakość techniczna zdjęć poprawi się z poprawą papieru. Uważamy, że zdjęcia i fotogramy, które zamieszczacie są dobre, a nawet bardzo dobre, z wyjątkiem zdjęć ze spektakli teatralnych. Może to wina teatrów, że prawie zawsze są to niewyraźne zdjęcia zbiorowe, o niezbyt wysokim poziomie artystycznym.

Z wierszy, które drukujecie na łamach pisma, podobały nam się wiersze p. M. Szargana i p. D. Chróścielewskiej.

Pytacie, czy zdanie Waszych recenzentów, pokrywa się z naszym. Dziwne, ale na ogół tak. Szczególnie wyraźnie dało się to odczuć, kiedy czytałyśmy recenzję z „Rewizora" M. Gogola.

Więcej uwagi można by poświęcić łódzkiej rozgłośni radiowej i łódzkiemu ośrodkowi telewizyjnemu.

Dobrze by też było, aby Wasze pismo przeprowadzało porównania łódzkich wydarzeń kulturalnych z wydarzeniami innych ośrodków w kraju. Dałoby to możliwość oceny sytuacji kulturalnej Łodzi na tle kraju.

Przepraszamy za kartkę (z zeszytu do historii), załączamy pozdrowienia.

Grupa uczniów
(podpisy nieczytelne)

ŁÓDŹ wczoraj, dziś i jutro

Dalszy ciąg ze str. 1

Jednym z czołowych zadań miasta było więc uruchomienie przemysłu i mimo dewastacji dokonanych przez okupanta, mimo braku fachowców, szczególnie wykwalifikowanych robotników, dzięki wysiłkowi władz i ofiarności społeczeństwa, fabryki ruszyły w stosunkowo krótkim czasie, dając krajowi potrzebną produkcję.

Nie mniej ważnym zadaniem było zorganizowanie życia miasta na zasadach zgodnych z potrzebami i wymaganiami nowego ustroju. Pilną sprawą było przygotowanie mieszkań dla napływającej ludności, uruchomienie szkolnictwa, komunikacji, jednym słowem tego wszystkiego co jest niezbędne dla normalnego funkcjonowania organizmu wielkomiejskiego.

Choć mało zniszczone działaniami wojennymi, budownictwo łódzkie było mocno przetrzebione szczególnie w dzielnicy północnej gdzie na terenie byłego getta Niemcy rozebrali około 60 tysięcy izb mieszkalnych. Mimo że przed Łodzią stanęły zwiększone zadania, decyzja o odbudowie stolicy zapadła dość wcześnie i na ten cel głównie szły centralne fundusze, w dziedzinie inwestowania Łódź nie była wówczas specjalnie uprzywilejowana. W tej trudnej sytuacji władze miasta od początku podjęły słuszny kierunek działania, mający na celu rozwój miasta i poprawę warunków bytowych jego mieszkańców. Dziś jeszcze jesteśmy kontynuatorami tej linii.

— Jak Pan Przewodniczący ocenia dorobek miasta w dziedzinie gospodarki komunalnej, budownictwa mieszkaniowego, sieci wodociągowo-kanalizacyjnej, przebudowy urbanistycznej itd.?

— Intensywniejsze finansowanie gospodarki komunalnej nastąpiło w Łodzi dopiero po roku 1954, do tego czasu było raczej skromne. Wiązało się to z decyzją o decentralizacji, która nastąpiła w 1955 roku, wzrostem uprawnień rad narodowych i od tej pory z roku na rok rosnącą ich samodzielnością w gospodarowaniu na własnym terenie. Wówczas to nastąpiła u nas poważna intensyfikacja wszelkich robót inwestycyjnych, w tym również budownictwa mieszkaniowego. Ale, nie wdając się w rozważania na temat poszczególnych etapów rozwoju, możemy dziś z satysfakcją ocenić efekty naszego budownictwa. Mamy 230 tysięcy nowych izb mieszkalnych, co na ogólną liczbę 540 tys. izb w Łodzi, stanowi około 43 procent. A przecież są to mieszkania nowe i nowoczesne, zapewniające ich użytkownikom wszelkie wygody. Budując bez mała 25 tysięcy izb mieszkalnych rocznie znajdujemy się w czołówce krajowej zajmując wśród miast wydzielonych drugie miejsce tuż po Warszawie. Optymistyczne są w tej dziedzinie i perspektywy na przyszłość. O ile z końcem bieżącej pięciolatki oddamy miastu 114 tysięcy nowych izb mieszkalnych, to plany na przyszłe 5-lecie przewidują wybudowanie 140 tysięcy izb z nowego budownictwa.

W ciągu minionych 24 lat założyliśmy ponad 1.000 kilometrów sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Zbudowaliśmy dwie magistrale łączące Pilicę z Łodzią. Już dziś 75 proc. ludności korzysta ze zdrowej wody pitnej, 72 procent — z urządzeń kanalizacyjnych. Zlikwidowane zostało więc zacofanie Łodzi w tej dziedzinie i stworzone dobre warunki bytowe i sanitarne jej mieszkańcom. Nie oznacza to wcale, że rozwiązaliśmy już wszystkie trudności. Ale nasze obecne trudności są trudnościami wynikającymi ze wzrostu, z rozwoju żywego organizmu miejskiego. A także ze stale rosnących potrzeb i wymagań mieszkańców. Ludzie chcą żyć i mieszkać coraz lepiej i to jest słuszne.

Miasto i przemysł potrzebują coraz więcej wody. Dlatego jeszcze w bieżącym roku rozpoczynamy budowę pierwszego etapu kanału Pilica—Łódź i w 1974 r. zapewnimy miastu potrzebne ilości zdrowej wody. Po 1974 roku przystąpimy do drugiego etapu budowy kanału Pilica—Łódź.

— Równolegle z rozbudową miasta postępuje rozbudowa przemysłu. Łódź w dalszym ciągu pozostaje centrum polskiego przemysłu włókienniczego, ale rozwija jednocześnie inne gałęzie przemysłu. Jakie są osiągnięcia i plany na tym odcinku?

— Rozbudowa Łodzi oparta jest o kierunkowy plan rozwoju miasta, zatwierdzony przez rząd w 1960 roku. Podstawowym założeniem tego planu jest z jednej strony rozwój przemysłu, z drugiej — stworzenie mieszkańcom dobrych warunków bytowych: mieszkań, punktów handlowych, usługowych, leczniczych, placówek oświatowych i kulturalnych. Przedwojenna Łódź charakteryzowała się wymieszaniem obiektów przemysłowych z budownictwem mieszkaniowym. Naszym celem jest taka rozbudowa przemysłu i dzielnic mieszkaniowych, by przemysł nie był uciążliwy dla miasta. Ta idea przyświeca planom rozbudowy i rekonstrukcji przemysłowej i urbanistycznej.

Zmienia się istotnie struktura przemysłu łódzkiego. Dawna struktura tego przemysłu była bardzo jednostronna i musi ona ulec zmianie. Głównym zadaniem w dalszym ciągu będzie rekonstrukcja i modernizacja zakładów i urządzeń przemysłu lekkiego, przede wszystkim włókienniczego, będziemy jednak rozwijać również przemysł elektromaszynowy, budowy maszyn, energetyczny, chemiczny i budowlany. Ten ostatni szczególnie z myślą o zabezpieczeniu bazy dla realizacji naszych szeroko zakrojonych planów inwestycyjnych.

— Szybki rozwój osiedli mieszkaniowych na peryferiach miasta wymaga rozbudowy i przebudowy sieci komunikacyjnej, a ta nie jest najmocniejszą stroną naszego miasta. Co w tej dziedzinie zrobiono i jakie są dalsze zamierzenia?

— Wśród wielu problemów do rozwiązania komunikacja miejska wcale nie jest najprostszym. W związku z rozbudową osiedli mieszkaniowych następuje u nas proces przemieszczania ludności. Dotychczas zagęszczone centrum rozładowuje się, a zaludniają przedmieścia. Przebudowie miasta zawsze towarzyszyć musi przebudowa sieci komunikacyjnej. Dziś już sytuacja jest taka, że inny mamy układ miasta, a inny sieci komunikacyjnej. Dlatego właśnie jej funkcjonowanie budzi zastrzeżenia. Mimo że w tym mieście, słynnym przed wojną z „kocich łbów" położyliśmy na 300 kilometrach ulic szlachetną nawierzchnię, mimo że uruchomiliśmy nowe linie tramwajowe, powiększyliśmy tabor, wprowadziliśmy autobusy, komunikacja wciąż nie jest dostatecznie sprawna. Wąskie ulice nie sprzyjają radykalnym posunięciom, przeszkadzają w skutecznej poprawie sytuacji. Aby poszerzać arterie musimy wyburzać domy przynajmniej po jednej stronie ulic. A to jest bardzo kosztowne i musimy liczyć się z naszymi realnymi możliwościami materialnymi. Burząc domy likwiduje się nie tylko mieszkania lecz i sklepy, placówki usługowe, w które i tak nigdy nie byliśmy zbyt bogaci.

Generalna przebudowa miasta, która przyniesie radykalne zmiany jest kwestią czasu. Będzie ona wymagała ogromnego wysiłku, pracy, energii i nakładów materialnych. Ale z każdym rokiem sytuacja jest lepsza, trudności zmniejszają się. Przyszła pięciolatka przewiduje duże nakłady i środki na inwestycje przemysłowe i wielkie inwestycje towarzyszące. Przy realizacji tych zamierzeń celem naszym będzie, by każde nowe osiedle mieszkaniowe miało zapewnioną sieć placówek usługowych. Mam tu na myśli nie tylko handel i usługi lecz również służbę zdrowia. Konieczna jest poprawa w dziedzinie świadczeń socjalnych i lecznictwa — od żłobków poczynając a na lecznictwie przemysłowym i zamkniętym kończąc.

— Łódź jest nie tylko wielkim ośrodkiem przemysłowym, ale również dużym centrum naukowym i kulturalnym. Jak Pan Przewodniczący ocenia dotychczasowe osiągnięcia w tej dziedzinie i widzi perspektywy dalszego rozwoju nauki i kultury?

— Łódź ma bogate tradycje w dziedzinie krzewienia oświaty. To tu przecież w czasach Kongresówki podjęto po raz pierwszy w kraju decyzję o powszechności nauczania w zakresie szkoły podstawowej. Władze miejskie zawsze przywiązywały dużą wagę do tych spraw. Jednym z pierwszych zadań powojennej Łodzi była organizacja szkolnictwa, a nie było to wówczas zadanie łatwe. Kadra nauczycielska była przetrzebiona, brakowało pomieszczeń szkolnych, adaptowało się wówczas budynki mieszkalne i inne nieszkolne. Dziś możemy pochwalić się 132 nowymi gmachami szkolnymi, w tym 92 dla szkół podstawowych (na marginesie — wybudowaliśmy też 71 budynków dla przedszkoli). Obecnie baza materialna szkolnictwa jest dobra, rzecz w tym, by program był realizowany jak najlepiej, by szkoły przygotowywały dobrych fachowców do zawodu, dobrych kandydatów na wyższe studia.

Dziś Łódź jest poważnym ośrodkiem myśli naukowej, skupionym wokół wyższych uczelni kształcących specjalistów dla przemysłu, humanistów, artystów.

Jest to miasto również poważnym ośrodkiem kulturalnym z dziewięcioma teatrami i instytucjami muzycznymi. Wybudowaliśmy ultranowoczesny Teatr Wielki, jakim poza Warszawą nie może poszczycić się żaden inny ośrodek w kraju, poza tym w zasadzie wszystkie teatry były modernizowane, bądź znajdują się w przebudowie. Trwa generalna przebudowa Teatru im. Jaracza, w ciągu dwu najbliższych lat Teatr Muzyczny otrzyma zaplecze dla swego nowego gmachu. W ciągu tych 24 lat w dziedzinie kultury zrobiono wiele i instytucje kulturalne mają niezłe warunki, co nie oznacza, że nie mają dalszych potrzeb. Potrzeby te zresztą wynikają z prężności i ciągłego rozwoju tych placówek.

Uznajemy potrzebę wybudowania w Łodzi Galerii Sztuki i sprawa ta będzie przedmiotem naszej uwagi. Przede wszystkim trzeba będzie tu rozstrzygnąć kwestię lokalizacji.

W najbliższych latach ulegną poprawie warunki lokalowe niektórych szkół artystycznych. W 1970 roku rozpoczniemy budowę nowego gmachu dla Liceum Muzycznego im. Wieniawskiego i Muzycznej Szkoły Podstawowej, w ciągu najbliższych dwóch lat przystąpimy do budowy gmachu dla Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Obydwie te budowy przeciągają się z powodu opóźnienia dokumentacji technicznej. Myślimy też o poprawie warunków dla Wyższej Szkoły Muzycznej, kształcącej kadry dla naszych placówek muzycznych.

Słuszne potrzeby wnoszą też łódzkie muzea, dobrze rozwijające się, stanowiące ośrodki pracy naukowej. W najbliższych latach chcemy pomóc Muzeum Ruchu Robotniczego, które dysponuje zbyt małą powierzchnią. W pierwszym etapie chcemy przygotować dla tej placówki pomieszczenia na Radogoszczu, w drugim, wobec perspektyw rozwojowych, dobudować lub zaadaptować dodatkowe pomieszczenia obok gmachu Muzeum. Trzeba też pomyśleć o powiększeniu powierzchni dla unikatowego w kraju Muzeum Włókiennictwa i dalszej adaptacji Białej Fabryki. Ciasno jest również w Muzeum Sztuki a także w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym.

Trzeba też będzie zająć się łódzkimi kinami. Dotychczas, z wyjątkiem Stoków, nie wybudowaliśmy ani jednego nowego budynku dla kina. Jeszcze w tym roku zamierzamy rozpocząć budowę kina przy ul. Limanowskiego dla mieszkańców tamtej dzielnicy, a w przyszłym roku projektujemy wzniesienie według tej samej dokumentacji, kina na Dąbrowie. W planach następnej pięciolatki trzeba będzie pomyśleć o nowym rozmieszczeniu sieci kin, bo w związku z przebudową miasta, a także ze względu na zły stan techniczny, niektóre z istniejących będą musiały ulec wyburzeniu. Także w przyszłym planie pięcioletnim przygotujemy warunki dla budowy nowego gmachu Filharmonii.

W ostatnich latach poważnie rozwinęła się sieć bibliotek, powiększyły się też księgozbiory, mimo to jednak w dalszych planach działalności kulturalnej poświęcać będziemy wiele uwagi dalszemu rozwojowi czytelnictwa jako ważnemu czynnikowi krzewienia oświaty i kultury w mieście.

Trzeba też podkreślić, że na przestrzeni lat coraz intensywniej rozwija się ruch amatorski prowadzą żywą działalność kulturalne placówki związków zawodowych, poszczególnych zakładów pracy, spółdzielczości oraz środowiska akademickiego. Ich osiągnięcia stanowią poważny wkład w rozwój życia kulturalnego miasta, które dawniej przecież nie miało zbyt bogatych tradycji w tej dziedzinie, a dziś jest jednym z prężniejszych ośrodków w kraju.

Mamy poważne, aktywne środowiska twórcze pisarzy, plastyków, aktorów, muzyków. Ich działalność, łącznie z działalnością środowisk naukowych stworzyła w mieście atmosferę sprzyjającą rozwojowi życia kulturalnego. A jest to atmosfera dobra jeśli daje konkretne rezultaty w postaci dużej frekwencji w teatrach, na wystawach i różnego rodzaju imprezach. Publiczność łódzka jest chłonna wrażliwa, żywo uczestniczy w wydarzeniach kulturalnych. I to jest chyba najcenniejszy rezultat 24-letniej działalności kulturalnej miasta, największa satysfakcja i najlepsza gwarancja dalszego rozwoju tej działalności.

— Dziękujemy za rozmowę i na Państwa ręce przekazujemy życzenia pomyślności pracy tym wszystkim, którzy przyczyniają się, by życie w naszym mieście było lepsze, łatwiejsze.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

Helena Strzyż-Garbolińska. „Fabryka".

Fot. A. Idziński

Styczeń

Dalszy ciąg ze str. 1

Z chwilą wyzwolenia przez Rosjan Kielc wśród łódzkich Niemców zapanowała przybierająca na sile panika. Zapoczątkowali ją reichsdeutsche, którzy byle jak, w pośpiechu dobijali się o miejsca w pociągach odchodzących na zachód, zatrzymywali samochody odjeżdżające za Wartę, zabierali się na furmanki pełne zrabowanych bagaży. W ciągu dwóch dni opuściło Łódź 20.000 Niemców, wkrótce jednak zabrakło środków transportu i na ulicach miasta widać było miotających się w panicznym strachu przedstawicieli Herrenvolku, z tobołkami na plecach, z ciężkimi walizami, których nie było czym wywieźć. Nad miastem pojawiły się radzieckie samoloty bombardujące wycofujące się oddziały wojskowe. Porządku nie przestrzegał już nikt: wiatrowali urzędnicy i volksdeutsche, policja i wojsko. Polakom nikt nie kazał stawić się do pracy, ale to nie wróżyło niczego dobrego. Ludzie w mig zorientowali się, że Niemcy chcą zdemontować i wywieźć maszyny, unieruchomić przemysł. Robotnicy zbierali się konspiracyjnie w mieszkaniach, aby przygotować kontrakcję.

Ale hitlerowskie plany sięgały jeszcze dalej: uciekający mordercy chcieli pośpiesznie zatrzeć chociaż niektóre ślady swoich masowych zbrodni. Na cmentarzu żydowskim dziewięć ogromnych dołów czekało od kilku dni na przyjęcie niedobitków z łódzkiego getta. Zagładzie resztki Żydów zapobiegło szybkie wkroczenie Rosjan: Niemcy nie zdążyli już przetrząsnąć zakamarków gettowych, gdzie po piwnicach i strychach kryli się jeszcze nieliczni świadkowie ich zbrodni. Postępy ofensywy radzieckiej uratowały życie pięciuset więźniom z ulicy Sterlinga, których gestapowcy nie zdążyli przetransportować do Radogoszcza, na zagładę. Podobny los gotowali więźniom z obozu pracy na Sikawie, ale w ostatniej chwili musieli odstąpić od swego zamiaru.

W nocy z 17 na 18 stycznia ludzie, pomimo mrozu, otwierali okna, aby posłuchać, jak grają radzieckie działa. W zaciemnionym mieście kanonadę słychać było wyraźnie, powtarzały ją wszystkie szyby drgające niebezpiecznie w ramach okien; mało kto spał tej nocy, radość nie pozwalała.

Ale ta noc była jednocześnie najtragiczniejszą jaką Łódź zna w swojej historii... Po północy komendant Radogoszcza, Pelzhausen i oddani mu wachmani wraz z oddziałem esesmanów wymordowali więźniów na parterze. Potem przenieśli się na trzecie piętro. Więźniowie ustawieni w piątki pod groźbą karabinów zbiegali po schodach. Strzelano do nich z dwóch stron, z dołu i z góry. Na drugim piętrze rozstrzeliwano więźniów ustawionych na pryczach. Część z nich popędzono na klatkę schodową, gdzie dostali się pod ogień kaemów. Uwięzieni na pierwszym piętrze nie czekali, aż oprawcy wejdą do ich celi: wyskakiwali przez okna, na dziedziniec. Ale tam również spotykała ich śmierć.

Nad ranem esesmani podpalili mury radogoskiego więzienia. Chcieli zostawić po sobie popiół, zlikwidować niedobitków, którzy kryli się wśród stosu zwłok, w załomach więziennych murów, na dachach; zatrzeć do końca ślady nieludzkiej zbrodni. Czarny dym pożaru unosił się nad miastem, ale palonym żywcem więźniom nie można było przyjść z pomocą. Uzbrojeni oprawcy otoczyli ze wszystkich stron mury więzienia i czekali, aż dopali się ostatni kamień. Czuwali tak przez następną noc, nawet wtedy, gdy wojska radzieckie dotarły już do Zgierza, Aleksandrowa i Łęczycy.

Rankiem, 19 stycznia, Niemcy umykali z Łodzi ostatnią drogą, jaka im jeszcze została: pabianicką szosą ostrzeliwaną już przez artylerię radziecką. Wojska 1 Frontu Białoruskiego, które koło południa wyzwoliły całe miasto, zaciskały wokół Łodzi kleszcze udaremniając hitlerowcom wysadzenie podminowanych przez nich obiektów. Koło jedenastej lotem błyskawicy rozeszła się po mieście wieść: sowieckie tanki już na Julianowie. Po jakiejś chwili radzieckie czołgi owacyjnie witane przez łodzian wjechały na Plac Wolności. Ludzie darli prześcieradła i wsypy do poduszek, szyjąc pośpiesznie flagi w narodowych barwach.

Specjalny korespondent „Rzeczypospolitej", Stanisław Babisiak, pisał z wyzwolonej Łodzi:

„Jedynie okolice dworca zachodniego uległy częściowemu zniszczeniu. Ulica Piotrkowska taka sama jak dawniej. Tylko napisy niemieckie świadczą o tragicznym okresie okupacji. Ale już tłum pijany wolnością przystawia drabiny do ścian. Zdzierają znienawidzone litery. Rzucają je z łomotem na bruk. Czyjaś drżąca z radosnego uniesienia ręka maluje wielki napis: „Poczta Polska".

Żołnierze generała Katukowa likwidowali jeszcze opór ostatnich niemieckich oddziałów wojskowych, które nie zdążyły wymknąć się z Łodzi, kiedy na miejscu radogoskiej zbrodni zaczęła prace Nadzwyczajna Komisja złożona z ośmiu osób. Stanowili ją sołtys Maciej Rozdolski, buchalter Zdzisław Rytel, krawiec Władysław Kabaciński, dziennikarz Henryk Rudnicki, urzędnik Władysław Kraszewski, b. więzień Franciszek Zarębski, kapitan Andrzej Łazarczyk oraz porucznik Gegerin Marutow. W oparciu o relację cudem ocalałych kilkunastu więźniów radogoskich a także świadectwo okolicznych mieszkańców, komisja przygotowała pierwszy raport o zbrodni w Radogoszczu ustalając jednocześnie nazwiska niektórych morderców. Pracowała pośpiesznie, ale rzetelnie, czego dowiódł późniejszy proces komendanta Radogoszcza, Pelzhausena, gdzie tylko nieznacznie skorygowano ten pierwszy raport o morderstwie.

Zgliszcza Radogoszcza, pełne swądu zetlonych ciał, stały się w pierwszych dniach wyzwolenia miasta miejscem zbiorowych wędrówek mieszkańców Łodzi, którzy w murach dawnej fabryki Abbego stracili swoich najbliższych. Łącznie z ostatnią niemiecką zbrodnią w Radogoszczu, która pochłonęła około 2000 ofiar, w ciągu lat okupacji straciło życie w tym więzieniu zagłady ponad 30.000 łodzian. Ludzie stawali nad wypalonymi szczątkami ofiar przysięgając, że ich pomszczą. Podczas mszy żałobnej, którą celebrował 28 stycznia ksiądz Orłowski na miejscu kaźni, tłum o mało nie rozszarpał Niemca, który obserwował tę smutną uroczystość. Popioły i szczątki zamordowanych złożono do prostych, przypominających skrzynie trumien z nie pomalowanego drzewa i pochowano w zbiorowych mogiłach nie opodal spalonych murów.

Leszek Rózga: Wspomnienia.

W dwa dni po wyzwoleniu miasta zaczęto organizować pierwszą polską gazetę. Była nią „Wolna Łódź", wydawane codziennie dwie kolumny niewielkiego formatu; kolportażu podjęli się przedwojenni łódzcy gazeciarze, którzy czekali od dawna na ten moment. Redagowali ten pierwszy po wojnie lokalny organ Aleksander Litwin i Henryk Rudnicki.

Redaktor Rudnicki wspomina:

„Początkowo zamierzaliśmy wykorzystać dla naszych potrzeb drukarnię dawnego „Kuriera Łódzkiego" na Żwirki. Ale tam gospodarowali już Rosjanie, publikując odezwy i rozporządzenia. Wojenny komendant miasta, generał Furt, zaproponował nam przejęcie lokalu wydawanej przez Niemców „Litzmannstädter Zeitung" na Piotrkowskiej 86. Kiedy tam poszedłem, klucze kołysały się w biurkach, jakby dopiero przed chwilą uciekli stąd nazistowscy redaktorzy. To dlatego, że drżał cały budynek, ulicą jechały czołgi. Na biurku redakcyjnego führera leżały maszynopisy numeru, którego Niemcy nie zdążyli już wydać. W szafie znalazłem jakąś broń sprezentowaną nam przez okupantów, którą przekazałem Rosjanom".

Pierwszy numer „Wolnej Łodzi" nosi datę 24 stycznia 1945 r. O problemach miasta powiedzą najlepiej luźne hasła, które zamiast wstępniaków drukowano niemal co dzień w gazecie „WSZYSCY DO PRACY! ROBOTNICY! DO FABRYKI!" Pracowało się w tych dniach za mleko i chleb, robotnicy i urzędnicy, ale nikt się nie skarżył. Wojna wciąż jeszcze trwała, w mieście obowiązywało zaciemnienie, a nocami grasowali faszystowscy skrytobójcy, esesmańskie niedobitki, którzy zostali w Łodzi, aby organizować dywersję. Taka grupa skrytobójców zamordowała podstępnie radzieckiego oficera: trumnę ze zwłokami żołnierza wystawiono potem na widok publiczny na Placu Wolności. O kwiaty nie było wtedy łatwo, ale ludzie zdobywali gdzieś wiązanki i składali na katafalku.

Grupę esesmanów wykryto potem przypadkowo w kanale ściekowym, którym odprowadzano fekalia z fabryki Poznańskiego. Tkwili tam jak szczury, opuszczając go tylko nocą. Trzeba było kanał rozwalić granatami· wychodzili z kanału z podniesionymi rękami, w czarnych mundurach. Czarne mundury morderców zbulwersowały ludzi, którzy z bezpiecznej odległości przyglądali się tej operacji. Do widoku Niemców z podniesionymi rękami wszyscy już przywykli: przez miasto nieustannie przeciągały pod strażą kolumny niemieckich jeńców, na wschód.

Najpopularniejszą pieśnią patriotyczną tego okresu była „Rota". Śpiewano ją w domach i na zgromadzeniach publicznych kładąc szczególny akcent na tych słowach, które mówiły, że Niemiec nie będzie pluł nam w twarz. „Rotę" zaśpiewano już na pierwszym większym wiecu robotniczym w hali sportowej przy ulicy Żeromskiego, gdzie do mieszkańców Łodzi przemawiał sekretarz PPR, pułkownik Armii Ludowej, Ignacy Loga-Sowiński. Zgromadzenia odbywały się w Domu Śpiewaków na ul. 11 Listopada, w salach fabrycznych u Buhlego, Geyera, Brauna, w szkole przy ulicy Rokicińskiej. W Sali Śpiewaków 25 stycznia zebrali się delegaci fabryczni 500 zakładów przemysłowych. Wygłosił tam przemówienie Władysław Gomułka, wówczas wicepremier, obecny był prezydent miasta kapitan Witaszewski i Ignacy Loga-Sowiński.

Każdy dzień stabilizował życie miasta. Cztery uruchomione właśnie kina bezpłatnie wyświetlały film „Tęcza" i kronikę wyzwolenia Majdanka. Podjęła pracę gazownia i na miasto wyjechały pierwsze tramwaje. Wznowiły produkcję niektóre zakłady przemysłowe: surowców pozostawionych przez Niemców mogło wystarczyć na miesiąc. Zorganizował się Zarząd Miejski i Milicja Obywatelska, Urząd Mieszkaniowy miał pełne ręce roboty. Jednocześnie ściągały do Łodzi tysiące rozbitków z Warszawy, którym miasto, niemal bez śladów wojny, wydawało się po ruinach stolicy prawdziwą Ziemią Obiecaną. A przecież, jak wykazały dane pierwszego po wojnie spisu powszechnego, ta szczęśliwie zachowana Łódź straciła w czasie okupacji blisko połowę ludności.

Moja sąsiadka, pani Gapińska, powiada: „Pamiętam dobrze ten styczeń. Na skrzyżowaniach ulic żołnierze radzieccy grali na harmoniach, wdrapywaliśmy się na platformy samochodów i tańczyliśmy wszyscy ze szczęścia, że przeżyliśmy. Żołnierze kradli nam całusy, ale nikt się o to nie gniewał. Tego stycznia nie można zapomnieć".

JERZY DARNAL

Materiały: „Druga Wojna Światowa — Informator", Warszawa 1962; M. Cygański: „Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1919—1945" Łódź 1965; J. Poznański: „Pamiętnik z getta łódzkiego" Łódź 1960; Akta procesu Pelzhausena; „Wolna Łódź" 1945, „Robotnik" 1945, „Rzeczpospolita" 1945.

Miasto złe czy dobre?

JULIAN TUWIM

W tej najpiękniejszej chwili mego życia składam przede wszystkim hołd tym wielkim duchom poezji naszej, których natchnione słowa tak głęboko zapadły mi w serce.

Rozumiem, że przyznano mi nagrodę Łodzi nie w kolejności zasług dla literatury ojczystej, gdyż mi do nich bardzo jeszcze daleko; że nagrodzono tu nie tylko poetę, ale i łodzianina.

Niechaj mi wolno będzie, jako dziecku Łodzi fabrycznej, Łodzi robotniczej, dać wyraz najczulszemu wzruszeniu z powodu tej decyzji.

A jest to uczucie owiane tkliwą pamięcią tych dawnych dni, kiedy budziły się we mnie pierwsze melodie wierszy — albo w rytmie tego miasta, albo buntujące się przeciw jego rytmowi, lecz zawsze z łódzkich ulic wyniesione. Kominy były mi jak olbrzymie czerwone wykrzykniki, jak znaki potwierdzenia, że jest to miasto nieustającej pracy.

Zawsze o tym pamiętałem i zawsze za to kochać będę moje miasto rodzinne.

A teraz, kiedy mnie Łódź tak wspaniale, tak szczodrobliwie, ponad nikłe zasługi wynagrodziła, pamiętać będę, że uznanie dla dotychczasowego mego dorobku jest jednocześnie dalszym bodźcem do wytężonej pracy dla dzieła młodej, roboczej poezji polskiej.

(Przemówienie na posiedzeniu Rady Miejskiej w Łodzi w dn. 2 maja 1928 r. opublikowane w „Studiach i materiałach do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego").

ALFRED DÖBLIN

Jestem w Łodzi: fabryki, dziki zachód, prowincja. Ach, ta Łódź. Fabryki rozwijają się szybciej niż ludzie. Od dawna jestem zdania, że większy ruch panuje w świecie nieorganicznym, niż organicznym.

Przeciągnięto krechę przez całe miasto z góry na dół. W żadnym mieście nie widziałem podobnej krechy. To jest ulica Piotrkowska. (Reise in Polen, 1925)

MARIAN PIECHAL

Łódź jest podobno złym miastem... To nieprawda! To przesądy! Łódź dla nowoczesnych poetów, dla artystów, głoszących hasła uspołecznienia sztuki, dla pisarzy, podejmujących najżywotniejsze problemy społeczne naszego wieku, to po prostu terra incognita, to Atlantyda, spoczywająca dotąd pod głuchymi wodami zapomnienia, to nowa Ameryka, którą trzeba jak najprędzej odkryć!!! Dzisiaj, kiedy się tak powszechnie skarży na brak tematów w literaturze, kiedy się utyskuje na powszechny zanik idei, artyści, poeci, powieściopisarze, proszę, przybywajcie tłumnie do tej ziemi obiecanej tematów nietkniętych i pełnej problematów najaktualniejszych!!!

Inna sprawa, że niejedne tematy okażą się za ciężkie na niejedne barki — ale na tym właśnie polega cała waga i powaga łódzkich tema

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Tango na zapustach

1

Karnawał, albo po polsku: zapusty, to czas zabaw tanecznych, balów, kuligów, redut, groteskowych pochodów i maskarad.

Obyczaj karnawałowy wywodzi się w prostej linii z pogańskich uroczystości o zabarwieniu „bachicznym" (stąd przebrania i maski, kult wina i tańca) ale, z biegiem czasu, został sprytnie podporządkowany religii, prawom kalendarza kościelnego...

Karnawał, wedle starej i zaaprobowanej przez kościół tradycji, rozpoczyna się w święto Trzech Króli, a kończy w przeddzień środy popielcowej Tu jednakże nastąpiły pewne przetasowania...

No bo, na dobrą sprawę, uwertura zapustowa przypada w dzisiejszej dobie już na wieczór sylwestrowy, natomiast finał zapustów, aczkolwiek hucznie obchodzony w ostatki, strzela, i to coraz częściej, donośnymi akordami również w tak zwanym poście.

Jak tak dalej pójdzie — będziemy mieli karnawał przez cały rok.

2.

Jerzy Waldorff powiada, że prawdziwe bale były przed wojną, a teraz to w wieczór sylwestrowy nie warto w ogóle wyjść z domu. Kiedyś — to były kobiety! Szampańskie wino! Muzyka! Ogromne, bogato a gustownie wystrojone sale!

Teraz? — Nędza obyczaju! Brzęk elektrycznych gitar, taniec przywodzący na myśl gimnastykę rekreacyjną, strój skąpy w kroju i pomyśle, totalny brak wodzirejów, farmazonów itd.

Ktoś by pomyślał, że Polak anno domini 69, to gość bez polotu, sknera, ponurak — jeśli nawet pójdzie na zabawę — nie potańczy, nie popije... aby do rana, żonę pod pachę i... w bety!

3.

Nic podobnego. Bale i zabawy przeszły w naszej wyzwolonej Polsce wielką ewolucję. Pamiętacie jak to było w pierwszych latach ludowej niepodległości? Niewiele wówczas trzeba było do szczęścia: gramofon na korbkę, parę zdartych płyt, wiadro bimbru i szklanki po musztardzie W knajpach tańczono przy dźwiękach partyzanckiej harmoszki, a na oficjalnych balach najelegantsi panowie występowali w wypucowanych do połysku butach z cholewami; najelegantsze panie, z włosami spalonymi od karbówek, walcowały w takt niestrojonej muzyki, a miały na sobie suknie z lichutkiego materiału, długie za kolana i kwadratowe w ramionach. Ludzie zachłystywali się wolnością, dniem dzisiejszym, a kiedy się bawili, to — można powiedzieć — była to zabawa w stanie czystym: taniec dla tańca, muzyka dla muzyki, wino dla wina... bez rafinady, konkursow piękności i licytowania się w strojach.

A jak to wygląda dzisiaj, po blisko dwudziestu pięciu latach złotej wolności? Czy aby przypadkiem nie rozpoczął się renesans tych przedwojennych, wystawnych, opłakiwanych przez Waldorffa balów?

4.

Fryzjerzy i manicurzystki dwoją się i troją. Kobieta, która chce zdobyć modną fryzurę w ekskluzywnym salonie, zapowiada swoją wizytę na trzy, cztery dni przed czasem, a i tak czeka jeszcze w kolejce przepisowych pięć godzin. Krawcy damscy i męscy, prywatni i uspołecznieni — z trudem wywiązują się z zobowiązań wobec licznej klienteli. A co się szyje? Coraz częściej fraki i smokingi dla panów, którym — jak głosi fama — iść na bal (w Filharmonii albo w Operze) w zwykłym jednorzędowym ubranku, po prostu nie wypada. Jeśli chodzi o panie, to — wbrew wszechwładnie panującej mini modzie — karnawałowe kreacje składają się w poważnej części z długich, dostojnych sukni, przeznaczonych często tylko na jeden — dwa występy, a kosztujących od tysiąca złotych w górę. W tym roku modne są ponoć koronki, szyfony, lamy i brokaty...

Wystrój sal balowych też niewiele pozostawia do życzenia — dzięki wytężonej i ofiarnej pracy naszych plastyków.

Z muzyką natomiast jest zupełnie inaczej, niż to sobie wyobraża pan Waldorff. Zespoły grające na balach (za niebagatelne zresztą honorarium: w noc sylwestrową na jednego muzyka przypada średnio od dwu do trzech tysięcy złotych), mają w swoim repertuarze poloneza, mazura, bostona, także cały bogaty serwis tańców współczesnych, pośród których big-beat zajmuje raczej poślednie miejsce. Nierzadko jeden bal obsługują na zmianę dwie orkiestry, tym sposobem nie ma w ogóle przerw w graniu, a na dodatek zaspokojone zostają wszelkie możliwe gusty — od oberka i węgierskiego czardasza do brazylijskiej samby...

Na bal jeździmy taksówkami, a także coraz częściej, własnymi samochodami, którymi — aby nie wchodzić w kolizję z kodeksem drogowym — nie powinniśmy przy najmniej wracać do domu po szampańskiej nocy... ale, wracamy — tracąc często prawo jazdy, albo i coś więcej...

Wytworzyła się hierarchia balowa, gdyż są bale, na które wypada się snobować. W dobrym tonie jest uczestnictwo na Balu Mistrzów Sportu w Warszawie, a jeśli chodzi o Łódź, to w cenie jest Bal Prasy i Bal Amazonek (w mowie potocznej; Bal Koniarzy). Młody człowiek, który może o sobie powiedzieć, że uczestniczył w Balu Filmowców, to — mówiąc językiem warszawskiego playboya: już jest dobry, już do przodu...

5.

Hierarchia balowa stworzyła precedens do rozlicznych czarnorynkowych spekulacji Było w ostatnich latach kilka procesów o fałszowanie zaproszeń na ekskluzywne, znajdujące się w centrum zainteresowania zabawy, i sprzedawanie ich pokątnie po odpowiednio zawyżonych cenach.

Nie wiadomo jeszcze, co przyniesie w tej materii bieżący karnawał, ale...

Mamy już kilka informacji z pierwszej ręki, od rajzera, który spędzał Nowy Rok w Zakopanem:

Zimowa stolica Polski jest, jak co roku o tej porze, zatłoczona setkami tysięcy przyjezdnych, których niezaspokojony w pełni głód sportów zimowych ustępuje wieczorami głodowi tańca i rozrywki. Toteż w czterech głównych „dansingowych" restauracjach Zakopanego panuje nieopisany ścisk, a przed Nowym Rokiem, w związku z zaproszeniami i kartami wstępu, działy się tam dantejskie sceny.

Bilet wstępu do „Watry" i „Jędrusia", który oficjalnie kształtował się w wysokości siedmiuset złotych na parkę, na giełdzie hochsztaplerskiej urastał do tysiąca i tysiąca stu złotych, natomiast w Grand Hotelu, który prosperuje przede wszystkim dzięki turystom zagranicznym — płaciło się za wejście dolarami. Jeśli ktoś zapłacił szatniarzowi za przechowanie płaszcza (czy może raczej: futra) tylko pięć złotych, to mógł usłyszeć kilka przykrych słów, natomiast orkiestrze, za dedykowanie damie serca, zapustne — aczkolwiek wykonywane w ramach pracy — tango płaciło się od dwustu złotych w górę. Narzut na Martelle, Napoleony i Camusy był akurat taki, że butelka kosztowała połowę mojej redakcyjnej pensji, a na kieliszki wypadało to jeszcze drożej, jako że z rozlewaniem wiąże się dodatkowa robocizna.

No, ale Martelle, Napoleony i Camusy skrzyły się złociście nie tylko w Zakopanem...

6.

Także w niektórych lokalach łódzkich, choć na roboczo piło się u nas żubrówkę, jarzębiak i czystą.

Piszący te słowa pełnił dyżur reporterski na balu w jednym z łódzkich zakładów pracy i po północy, kiedy zabawa była już w pełnym toku i pękały ostatnie lody, zwrócił się do kilku osób z zapytaniem — nieoficjalnym, rzuconym w formie żartobliwej — co zmieniło się w karnawałowych obyczajach na przestrzeni ostatnich lat.

Robotnik (młody, trzydziestopięcioletni) twierdzi, że oczyściła się przede wszystkim atmosfera zabaw tanecznych, nad którymi niegdyś wisiała, jak katowski miecz, groźba rozróby; to paraliżowało nastrój i trzymało w nieustannym napięciu organizatorów.

Inny młody robotnik, wytrawny znawca obyczajów, powiada, że owa poprawa atmosfery na zabawach wiąże się ściśle z niewątpliwym wzrostem kultury picia:

— W tej samej sali pięć, sześć lat temu finał zabaw karnawałowych wyglądał żałośnie. Nad ranem brzask obnażał sylwetki „skutych" nieprzytomnie panów, drzemiących w nieprzystojnych pozach pod ścianami; stoły, krzesła, dekoracje walały się po ziemi pospołu z resztkami jedzenia. Teraz o czymś takim nie może być mowy. Do głosu doszły pewne elementarne zasady przyzwoitości. Każdy, nawet najbardziej uległy wobec napojów alkoholowych gość, zdaje sobie sprawę, ile nieszczęścia może przy spożyć taka jedna „niekontrolowana" noc, bo to i dyrektor patrzy i przewodniczący rady zakładowej, i inni, mający coś do powiedzenia... a raz zaszargana opinia potrafi pokutować całymi latami.

Sekretarka dyrektora naczelnego, Bożena S., jest zdania, że decydujących zmian obyczajowych na karnawałowych balach i zabawach należy szukać, w pierwszym rzędzie, w sferze mody:

— Niech pan zobaczy, jak się teraz ludzie ubierają! Gustownie, z umiarem. Poznikały gdzieś krawaty na gumkę, pstrokate kamizelki, buty na podwójnej zelówce. Jeśli zaś chodzi o kobiety, to od dwóch lat nie widziałam u żadnej sukni z przejrzystych tworzyw sztucznych i jarmarcznej, zakupionej w kiosku na Bałuckim Rynku biżuterii. Niby głupstwo — ale to dobitnie świadczy zarówno o estetyce, jak i pogłębiającym się procesie demokratyzacji życia. Na tej sali nie odróżni pan inżyniera od robotnika i prządki od księgowej — wszystkich obowiązują te same reguły karnawałowej gry.

7.

— Jak była ubrana Ewa W.?

— Suknia do samej ziemi, z organdyny, biały puszysty szal i białe półszpilki.

— A Nadia?

— Nadia przyszła w sukni z „Telimeny", takiej za półtora tysiąca, brokatowej.

— Był Adam S.?

— No, masz! We fraku!

Widziano także na balowej sali Pawła N. w smokingu i wymyślnym, popelinowym żupaniku pod szyję. Widziano jeszcze wiele innych pięknych i gustownie ubranych pań i wielu innych przystojnych, elegancko ubranych panów.

A jaki stąd wniosek?

W dzisiejszej dobie zabawa przestała być tylko zabawą. Jest i rewią mody. I placem boju dla elegantów i elegantek. Jest także — co najważniejsze — świadectwem stabilizacji i dobrobytu, choć zapewne nie każdy jeszcze może się szarpnąć na Sylwestra w zakopiańskiej „Watrze" albo w Grand Hotelu.

---

tów — tej stolicy polskiego proletariatu!

(Kurier Poranny, 27. IV. 1930 r.)

JERZY ZARUBA

Zaczęło się to w końcu stycznia r. 1945. Miasto Łódź po ponurym okresie „licmansztactwa" staje się najniespodziewaniej w świecie nie tylko centrum przemysłu włókienniczego, ale jednym z większych środowisk intelektualnych i artystycznych Polski. Duże, nie zniszczone niemal zupełnie miasto mogło dać gościnę licznym pozbawionym dachu nad głową muzom i ich adeptom. No i dało. Jeszcze huk armatni grał w uszach, jeszcze dymiły horyzonty, a już wiara spod różnych znaków Zodiaku sztuki na wieść o nowo

czesnych blokach z łazienkami i opuszczonych pałacach runęła na miasto.

(Łódź, dymiące Ateny, 1958)

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Jeśli idzie o charakter łodzian, to główną jego cechą jest osobista odwaga. Bądź co bądź, żyć stale w Łodzi — to wymaga pewnej wytrzymałości i męstwa.

To jedyne na świecie miasto, do którego nikt nie przyjeżdża dla przyjemności.

Być może, przyczyną upadku teatru jest życzliwe stanowisko prasy łódzkiej, która popiera i reklamuje teatr gorąco. Skutek jest fatalny, ponieważ łodzianie z zasady nie wierzą łódzkiej prasie i nie czytają jej, podobnie jak nie leczą się u łódzkich lekarzy, nie ubierają się u łódzkich krawców i nie chodzą do łódzkiego teatru.

W każdym innym mieście wiem, co ze sobą zrobić, ale tu, w Łodzi?...

(Geografia serdeczna, 1931)

KSAWERY PRUSZYNSKI

Na przedmieściach Łodzi widzi się krzyże i obrazy na drzewach. To miasto wchłonęło w siebie pola i drogi

polne, kładąc domy, gdzie były łąki, pozostawiając tylko drzewa i krzyże przydrożne. Czasem na przedmieściach Warszawy widzi się to samo. W niedzielę za miastem widzieliśmy ludzi z miasta, którzy wyszli nie po to, aby się na trawie położyć bez ruchu, ale po to, aby wyjść i patrzeć długo na pole. Tego mieszczuchy, póki nie ma bławatków, nie robią. To tylko dawny wiejski człowiek, wygnany do miasta za pracą, tak wychodzi sobie za przedmieścia popatrzeć czy dobrze wschodzi tej wiosny. Taśma ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjne roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś. W Łęczyckiem, Częstochowskiem, Kaliskiem i Łowickiem przeludnienie agrarne, brak ziemi do parcelacji w ogóle dosięga szczytu. Na płaskiej ziemi widne z daleka kominy Łodzi — ciągną.

Ludzie łódzcy i wiejscy błąkają się obco po ulicach wielkiego miasta, wokół fabryk, gdzie inni walczą o lepsze warunki pracy, o szkoły, o rzeczy, które dla nich będą dopiero dalekim etapem walki. Tych ludzi zmobilizować trudno.

(„Podróże po Polsce", Warszawa 1937. Rozdział: „Żółci ludzie z Łodzi")

(Rys. W. Kondek)

MAREK WAWRZKIEWICZ

DZIKIE TRAWY

Słońce wciąż idzie w górę.

Niedługo wzejdzie ponad stare drzewa i wyłowi werandę z zielonego, ruchomego cienia Będzie wtedy bardzo jasno, pozorna gładkość posadzki zniknie, zarysują się drobne pęknięcia, stworzą poplątane, zawiłe wzory. Wczoraj wypatrzyłem tu, aż wstyd powiedzieć, sandał Hermesa, skrzydlaty sandał. Potem, kiedy nad szumiącym oknem parku przeleciały już ptaki, nie mogłem znaleźć tego rysunku. Mo że się mimowolnie poruszyłem, zmieniłem pozycję. Dzisiaj znowu poszukam. Słońce idzie w górę.

Właściwie jestem już zupełnie spokojny. Chyba jest ze mną trochę lepiej. Myślę tak, bo wydaje mi się, że mniej niż dotąd oszukują mnie. Nie są już tacy optymistyczni, nie śmieją się tak często. Przemyślałem to sobie i jestem prawie spokojny. Nie mogę zrobić nic więcej ponad to, co robię. Napinam mięśnie, stwarzam sobie złudzenie, że poruszyłem dużym palcem w ciepłym pantoflu. Czasem wiem to lepiej, czasem gorzej — zależy od słońca, od cienia, od rysunku skrzydlatego sandała na posadzce. Co mogę jeszcze więcej? Myśleć, pamiętać. Przypomnieć sobie jeszcze raz.

Dlaczego sądzę, że jest lepiej? Tak, chyba więcej teraz prawdy. Jest niepotrzebna, ale niech będzie. Dziś po śniadaniu, wywożąc mnie na werandę Irena powiedziała:

— Niech pan lepiej zgoli brodę, jest pan młody. Po co się tak postarzać. Źle pan dzisiaj wygląda.

Powiedziałem:

— Niech mnie pani nie namawia do młodości, do tego nie można namówić. Jest, albo jej nie ma. Ja pani nawet nie zazdroszczę, siostro.

Uśmiechnęła się. Potem pogłaskała mnie po głowie. Poszła, jak zwykle pobiegła. Ona ma drobne, ruchliwe, niecierpliwe usta. Usta z innej twarzy, ale to wcale nie przeszkadza patrzeć na nią z przyjemnością, na pastelową, jasną dziewczynę.

Kiedy się uśmiecha, lub kiedy zamyślając się patrzy gdzieś ponad moją głową — te usta drgają. Chciałbym dotknąć ich końcami palców.

Pogłaskała mnie po głowie. Musiała to zrobić. Dziwne. Zastanawiam się i dostrzegam jak bardzo chcę, żeby ona to musiała. Żeby to nie było mimowolne. Ale nie dowiem się jak to jest, nie zapytam. Chyba się wstydzę, a zresztą wolę nie wiedzieć, żeby móc o tym myśleć. Bo lubię myśleć. Tak, po pewnym czasie zaczyna się lubić wszystko co się musi robić. Ja wiele więcej nie mogę.

Powtórzyć. Powtórzyć. Jeszcze raz. Jeszcze wiele razy. Odkąd się zaczyna dostrzegać rzeczy dawniej omijane, nie wiedząc nic o ich ilości. „Czy rozumiesz pojęcie wielkości?". „Nie, chyba nie. Tylko bardzo mętnie".

A więc te rzeczy, znaczenie ich — wielopiętrowe, wielokrotne. Morze rzeczy i tych wszystkich słów, rozlicznych synonimów, którymi się to morze określa. Muszę dojść do tego, odkąd.

Tak, to mnie uspokaja. Powinienem użyć czasu przeszłego, ale brakuje mi jeszcze odrobiny pewności. Jeszcze trochę poczekajmy — mówię sobie.

Zsuwam koc z kolan, opada na posadzkę. Jest bardzo ciepło, prawie upalnie. Nie ma nikogo. Kiedy oświetli mnie słońce, mniej więcej wtedy właśnie wszyscy tu wrócą. Ale lepiej jest tak.

Tylko czasami, bardzo rzadko, nawiedza mnie coś, co niechętnie nazywam tęsknotą. Za wszystkim, co zostało już tylko dla innych. Zabawne. Kiedyś tęskniłem — potrzebnie czy niepotrzebnie. Było to uczucie ciepłe — wilgotne, odbierające energię i chęć do jakiegokolwiek działania. Teraz czuję inaczej. Nie bardzo wiem, jakby to można powiedzieć. Kiedyś w lesie pogryzły mnie wielkie żółte mrówki. Paliły mnie wtedy ręce i nogi — ostro, piekąco. To chyba jest coś takiego. Ale mija. I kiedy moi chłopcy wiozą mnie uliczką w dół, a potem siadają w ogródku kawiarni, ja zaś zostaję po tej drugiej stronie kwietnej balustrady, to już nie obchodzą mnie nic zupełnie ci wszyscy ludzie, za widokiem których tęskniłem. Nie czuję na sobie wielu spojrzeń. Wtedy jeszcze mi dalej do świata. Jestem znużony, zmęczony, chcę być znowu sam. Świat jest bliżej kiedy o nim myślę.

Budzę się. Coraz upalniej, coraz mniej cienia na werandzie. Uliczką, mozolnie wspinając się w górę, idzie Andrzej. Wiem, że jest bardzo zmęczony, odbył długi, przymusowy spacer aż do „Zródełka". Ale nie przystaje ani na moment, nikt z przypadkowych przechodniów nie zwróci uwagi na ciężki wysiłek. Niedługo przyjdzie tu, usiądzie obok mnie na drewnianej ławce. Kiedy będzie zapalał papierosa, zobaczę jak drżą mu ręce, zobaczę całą siatkę błękitnych żył na stwardniałych od kul dłoniach. Zapalając papierosa powie, że koło pijalni spotkał dwie dziewczyny. W jego opowiadaniu te dziewczyny są piękne i młode, są zainteresowane Andrzejem. On się z nimi umówił na wieczór, w dalekiej kawiarni, będą na niego czekały obie — równie piękne i równie młode. Wieczorem — jeśli Andrzej nie zapomni o spotkaniu — pójdzie na spacer. Usiądzie w parkowej alejce i będzie patrzył na młode dziewczyny z kim innym umówione. Wróci po dwóch godzinach, będą mu drżały ręce, nie usłyszy moich pytań. Zaśnie późną nocą. A jutro — zacznie się wszystko na nowo.

Myśli mi się dzisiaj gorzej niż zwykle. Nie mogę jakoś wrócić do tamtych spraw, choć ciągle to sobie obiecuję. Znowu słyszę kroki, zbliżają się korytarzem w tę stronę. Poznaję. Wystarczy tydzień, aby w obcym, kilkudziesięcioosobowym gronie, nieomylnie każdego w ten sposób rozpoznać. Tu nie jest to takie trudne. Teraz idzie Irena. Pewnie zrobię to, co zwykle. I zanim się mogę zdecydować — mimowolnie zaczynam. Opieram głowę na poręczy, patrzę w bezchmurne, jasne niebo. Nie zauważam Ireny, nie słyszę jej przyjścia, jej pierwszych słów. Potem następuje raptowne ocknięcie się.

— Bardzo się pan zamyśla...

— Nie, siostro. Ja w ogóle nie myślę.

— E, nie wierzę. Czy chociaż o czymś wesołym?

— Takim zwykłym. Patrzę na niebo.

— A spodziewał się pan dzisiaj czegoś przyjemnego?

— Tak, oczywiście, już od wczoraj. Dzisiaj jest pani dyżur.

Śmieje się. Chciałbym dotknąć tych ust.
— Nie, ja mam dzisiaj coś bardziej przyjemnego.

Wiem. Ręka za plecami coś chowa. List. Znowu list. Dyżur Ireny jest naprawdę przyjemniejszy.

— Kto do mnie pisze? Jeszcze pamiętają?

Idiotyczna kokieteria.

— Zbyt wiele osób pamięta, panie Franku. Nawet w dalekich stronach, Irena wyjmuje wąską, białą kopertę. Podnosi pod nos, wącha. Potem znów się śmieje i odchodzi. Odbiega.

Nie, to wszystko nie tak. Inaczej niż trzeba. Głupia kokieteria, udawane zdziwienia, fałszywe gierki od początku do końca. Wszystko zbyt krótkie. Jej śmiech zbyt prawdziwy. I to jeszcze, że chciałbym, aby w tej chwili było całkiem odwrotnie, abym mógł być rzeczywiście sam, już zapomniany, a ona o tym wiedziała. Jeszcze to: czy naprawdę tego chcę?

Otwieram, czytam. Po pierwszym czytaniu czuję radość. Najpierw pytanie — skąd? Potem wiem. Trochę złośliwej satysfakcji. Po raz pierwszy, Anno, nie wiedziałaś jak to się robi.

„Franku, dostałam twoje oba listy. Wiem, nie mogliśmy się spotkać i nie żałuję tego. Dopiero po ostatnim liście zrozumiałam, że chcesz mnie zobaczyć. Niech ci to wystarczy za wszystkie tłumaczenia. Jeśli piszę teraz, to dlatego, że brak mi ciebie tutaj. Wiesz skąd mi się wzięła ta „tęsknota" za tobą? Przyszła dość niespodziewanie, na wystawie Chagalla. Nie zawsze doznaje się przyjemności przeżywając jakieś wzruszenia samotnie. Nie masz pojęcia jak bliski jesteś temu miastu. Kawiarniom na Bulwarze Saint-Michel, gdzie siedzą tłumy młodzieży, wystawom, architekturze i tutejszym kobietom, które notabene nie są ani zbyt ładne, ani dobrze ubrane. Moje dotychczasowe wrażenia? Och, właściwie prawie żadne. Tylko od czasu do czasu miewam chwile olśnienia w rodzaju: „jestem tutaj rzeczywiście". Ale często oddałabym to wszystko za jedną godzinę „polskości".

O, do diabła! To są skutki lenistwa. Pomyśl, powinnam tu być szczęśliwa. Jestem zupełnie sama, mam wszystko co chciałam, a jeszcze mi czegoś brak. Za duże wymagania, za wiele nadziei — ot i wszystko. Widzisz sam — przyjmuję tę moją przygodę z dużą rezerwą. I nie zgubię się w obcych wielkich miastach".

Niedobrze. Satysfakcja znika. Przerwa w czytaniu. Zapalę papierosa. To są te same, które stosowałem zamiast środków uśmierzających. Są grube, czarny, śmierdzący tytoń. Papierosy z tego kraju, gdzie teraz jest Anna. Kilka głębokich wdechów powoduje zawrót głowy. Już lepiej. Jeszcze popatrzmy w niebo.

Anno, to się zaczęło sześć... nie, osiem miesięcy temu. Malowałem wtedy „Dzikie trawy", a ty nie wiedziałaś dlaczego taką uwagę przywiązuję do błahej pracy. Robiłem to kilkanaście razy, dopiero w połowie zrozumiałem, że tak, trzeba jednym pędzlem, wszystko z góry, wszystko w jednym położeniu. Kiedy uspokoiłem się, bo zobaczyłem, wyczułem jak się to robi. Po raz pierwszy powiedziałaś o swoim wyjeździe. Poczułem coś bardzo zimnego w gardle, ale tylko na chwilę, bo zaraz potem myśl: ona nie może niczego zauważyć. Tak się zaczyna moje przegrywanie. Najpierw jest wzmożona samokontrola, która — czuję to — zawsze dla czujnego oka musi być sztuczna. Potem ona pęka, źle, sentymentalnie, i to jest zaprzeczenie wszystkiego, co było przedtem. Kiedy jest prawda? Ach, chciałoby się powiedzieć: dziś już nie pamiętam co robiłem, kiedy usłyszałem tę nowinę. Pamiętam, niestety, pamiętam. Wszystko, słowa, i gesty oraz to, że nie mogłem być dla siebie normalnie serdeczny. Niedługo potem skończyłem. Milczeliśmy, piliśmy tę najlepszą ze wszystkich, twoją herbatę. Wyglądałaś tak jak wtedy, na samym początku, kiedy powiedziałaś do mnie: „Drogi panie..." Wówczas ci napisałem na odwrocie „Dzikich traw" — „Tylko nie zgub się w obcych, wielkich miastach..."

„Tak, już przeszłam swój normalny akli matyzacyjny kryzys. Teraz pogodziłam się z faktem i nie mam do ciebie większych pretensji. Chodzę do teatru, rzadziej do kina, bo filmy okropne. Trochę czytam, trochę studiuję. Muszę sobie wypełnić czas, bo... widzisz, to już wymaga wyjaśnienia.

Gdybym ja nie była Polką wychowaną na różnych Dürrenmattach, Mannach, to znalazłabym tu towarzystwo. Niestety, ani poziom intelektualny tych ludzi, ani ich sposób zabawy zupełnie mi nie odpowiadają.

Czasami idziemy razem do baru na coctail lub whisky, siedzimy dwie godziny nad jednym kieliszkiem. Ja momentalnie zaczynam ziewać.

Pisz. Pożądam listów, wieści z Polski i polskiej atmosferki. Wybacz błędy ortograficzne, żyję w Wieży Babel i nie wiem po jakiemu piszę. Mój adres:

Mme Anne Ergirt
31, rue Raffet
Paris 16.

Całuję cię. Anna".

Tak, Anno, czy mógłbym się spodziewać czegoś więcej. Na przykład, że napiszesz: „W pokoju numer 11 na rue Raffet wiszą twoje „Dzikie trawy"?

Nigdy nie mogłem tak zupełnie utracić wiary, że to co ludzie mówią i piszą jest do końca prawdziwe. Gdybym jeszcze mógł pozbyć się tych resztek wątpliwości. gdyby to pozbywanie się nie było takie trudne...

Ani słowa więcej. Więc jednak nie wiedziałaś jak się to robi. Myślisz, że jestem bliski tamtemu miastu, kawiarniom na Saint-Michel. Gdybyś tu była męczyłbym się aby nie zadać ci tego pytania: jak możesz mnie zbliżyć do tego wszystkiego? Tak po prostu — zbliżyć fizycznie, materialnie. Wiem, pytanie byłoby niestosowne. Ale Anno, ludzka wyobraźnia jest kaleka, przywiązana do miejsc, gdzie byliśmy, które pamiętamy z dzieciństwa lub ze snu. Czy mogłabyś wyobrazić sobie ten dom i werandę przy domu, gdzie w tej chwili jestem? Znalazłabyś w kartotece pamięci dom, który przystaje do nazwy „Sanatorium", dom, który już kiedyś widziałaś. Drzewa i niebo, wąska uliczka schodząca w dół, której końca stąd nie widać; nie umiesz tego prawdziwie zobaczyć. Ja widzę trochę więcej. Kolor tynków, kolor twojej nowej sukienki, rzeki nad którą idziesz. Kiedyś myślałem, że to bardzo wiele.

Otwieram oczy i słońce mnie oślepia. Po gładkiej, równo skoszonej trawie biegnie Irena goniąc małego Pawła. Malec przewraca się, Irena podbiega, unosi go, śmiejącego się głośno, wysoko w górę. Potem bierze go za rękę i już razem, poważnie krocząc, zbliżają się w moją stronę. Kiwam im ręką, ale nie widzą tego i skręcają w alejkę wychodzącą na ulicę. Znowu słyszę dziecięcy śmiech. Już zniknęli za drzwiami. Wkładam list do kieszeni. Nie będę już dziś o nim myślał.

Słońce jest ponad koronami drzew. Zaraz tu będzie głośno i rojno. Tymczasem poszukam sobie skrzydlatego sandała. Ale jeszcze przedtem zapalę papierosa. To chyba od tytoniu mam w ustach ten gorzki, piekący smak.

(fragment powieści)

NAZIM HIKMET

Dzieciom

Dajmy kulę ziemską dzieciom, dajmy choć na jeden dzień,
dajmy — jak barwny balonik, niech się nim bawią,
niech bawią się i piosenki śpiewają wśród gwiazd.
Dajmy kulę ziemską dzieciom,
dajmy — jak jabłko ogromne, jak ciepły chleba bochen,
niech się najedzą do syta, choć przez jeden dzień.
Dajmy kulę ziemską dzieciom,
niech przez dzień kula ziemska rozumie,
jaka może być ufność.
Z rąk naszych wezmą dzieci kulę ziemską.
zasadzą drzewa nieśmiertelne.

przełożył
JERZY PLESNIAROWICZ

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Geometryzacja zdarzeń

Bernard Sztajnert uchodzi za pisarza „trudnego", piszącego dla wąskiego kręgu najbardziej wyrafinowanych czytelników. Jego ostatnia powieść daje podstawy do myślenia, że zasięg oddziaływania jego książek mógłby zwiększyć się kilkakrotnie — i to wcale nie kosztem obniżenia poziomu

Całe fragmenty „Księgi zdarzeń" czyta się — jak powiadają starzy poloniści — jednym tchem; pochłaniają one i są tak przejmujące, jak to bywa w wypadku najwybitniejszych osiągnięć literatury. Język i materia faktograficzna tych fragmentów są proste, przejrzyste, komunikatywne; myślę, że w tym tonie utrzymana całość z powodzeniem mogłaby zadziałać również wśród odbiorców wywodzących się z pozaelitarnych i pozasnobistycznych środowisk. Bogactwo i świeżość obserwacji psychologiczno-obyczajowych, cała galeria znakomicie podpatrzonych i znakomicie pokazanych postaci, do tego całe stronice pięknych, poetyckich obrazów-przypowieści — oto, moim zdaniem, niezaprzeczalne walory prozy Sztajnerta.

Jednak Sztajnert nie ma zaufania do — jak pisze — „zdarzeń występujących w czystej postaci"; nie wierzy, aby zdarzenia miały „należyty własny rozmiar", co chyba znaczy: własną wymowę. Nie chce być pisarzem-artystą, który niezauważalnym kształtowaniem czy też konstruowaniem zdarzeń nadaje im ich rozmiar, ich sens. Chce być pisarzem-filozofem badającym — jak stwierdza w którymś miejscu swej książki — rozwój, przebieg, a przede wszystkim strukturę zdarzeń.

Sztajnert geometryzuje zdarzenia: wytycza punkty, przeprowadza linie, zakreśla kręgi, a wreszcie przechodzi do stereometrii. Jednak geometria ta nie wynika ze zdarzeń, ale wyznacza zdarzenia. Autor nie chce uznać w zdarzeniach ich autonomicznych, literackich wartości, ale traktuje je jedynie jako ilustrację z góry przyjętych założeń.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że geometryzowanie zdarzeń jest wynikiem głębokich przemyśleń filozoficznych i doświadczeń życiowych autora, że w momentach intelektualnych spekulacji Sztajnert osiąga nowoczesny, eseistyczny, wysoko dziś notowany rytm prozy. Jednak moim zdaniem, same zdarzenia przygniatają swą siłą ich teoretyczne uzasadnienie.

* * *

„... do naszego domu zgłosił się mężczyzna o wyglądzie zbiedniałego Hitlera i zgarbiony pochylił się przy stole, gdzie rodzice posadzili go nad szklanką herbaty i talerzem babki, pokrajanej w smakowite plastry, pełne soczystych rodzynków i kawałków brunatnoziarnistej figi".

Powyższe zdanie znajduje się dopiero na 39 stronie. Od tego miejsca zdarzenia nabierają krwi, zaczynają pulsować życiem. Od tego miejsca ukazuje się jedna z najlepszych postaci książki — pan Artur — aby zadziwić czytelnika najpierw swoją osobą, a potem piękną opowieścią o Złotym Rogu.

Na poprzednich 39 stronach były tylko „drobne punkciki zdarzeń", stanowiące jedynie pretekst do teoretyczno-filozoficznych rozważań. Na dalszych stronach książki Sztajnert również teoretyzuje, ale robi to coraz rzadziej. Zdarzenia przybierają na rozmachu i na sile: dramatyczna śmierć matki narratora, jej pogrzeb, niezaspokojona w swej chciwości ciotka, drapieżnie natarczywa pani Walentyna, leitmotiv domu i podwórka z nieodłącznym odgłosem piły tnącej drewno i wyciem złośliwego pieska należącego do sąsiada z góry...

Stosunek pisarza do zdarzeń nie jest już zimnym stosunkiem teoretyka do faktu. Jego napięcie psychiczne i emocja rozsadzają mały, podwórkowy światek i jego sprawy. Odczuwa się tu wymiar, który już nie został objęty zimną, wyspekulowaną geometryzacją.

* * *

Bernard Sztajnert jest autorem prawie dziesięciu książek. Znany jest jego oryginalny talent od wielu lat. I od wielu lat jest on wierny udostępnianym nam już wielokrotnie własnym doświadczeniom i realiom ze swego najbliższego środowiska.

To chyba dobrze. Bez realiów — jak do niedawna mówiło się powszechnie — nie ma wielkiej literatury. I dlatego namawiałbym Sztajnerta do kontynuowania w swej twórczości warstwy zdarzeniowo - realistycznej. Wydaje mi się, że powinien on mieć większe zaufanie do owych sceptycznie traktowanych „zdarzeń występujących w czystej postaci", że zdarzenia te mogą zaatakować świadomość czytelnika z nie mniejszym skutkiem, niż teoretyczne rozważania na ich temat.

Bernard Sztajnert: „Księga zdarzeń". Wydawnictwo Poznańskie 1968, str. 215, cena zł. 15.—

Fot. J. Neugebauer

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

„Dziadek i Róża"

Uderzającą cechą nowej książki Tadeusza Papiera jest jej wielka prostota. Ale niechaj to nikogo nie myli, autor bynajmniej nie ogranicza się do opisu powierzchownego ludzi i zdarzeń. Ta niewielka objętościowo książka — to koronkowa robota literacka.

Autor pokazuje nam losy niewielkiej zbiorowości ludzkiej, kilku ludzi wsi i kilku mieszkańców pobliskiego małego miasteczka, poprzez losy głównego bohatera książki — Piotra. W konstrukcji książka przypomina „Miasteczko Winesburg" Sherwooda Andersona.

Akcja książki toczy się w zasadzie w czasie ostatniej wojny. Jednak autor nawiązuje do wcześniejszych dziejów opisywanej zbiorowości i wiąże tamte wydarzenia w czasie z dniem dzisiejszym. Zabieg ten autorowi się udaje i czytelnik odnosi wrażenie ciągłości walki bohaterów o najważniejsze cele narodowe i społeczne. Wszystko to autor ukazuje nam poprzez losy bohaterów, własną refleksję ogranicza, niekiedy zupełnie wyklucza.

W planach retrospektywnych rysuje się nam obraz ostatnich lat przed wojną. Główny bohater książki, syn chłopa — wspomina swój pobyt w gimnazjum i na stancji w miasteczku. Czasami zaglądał on do starego antykwariusza, prowincjonalnego zbieracza książek i osobliwych starożytności. W krótkich opisach znajdujemy cały smak obcowania z książką i ludźmi z nią związanymi.

Następnie autor wprowadza nas w atmosferę wojenną, grozy egzekucji i prześladowań niewinnych ludzi, a także zawiązującej się konspiracji. Bohater styka się z ludźmi różnych orientacji. Znajdziemy tu Rosjanina, którego los rzucił w te strony, pojawiają się reprezentanci różnych ugrupowań konspiracyjnych, partyzanci, wreszcie bezimienni bohaterowie podziemnego frontu walki z okupantem. Gdy Piotr zorganizował podziemną szkołę, pomagali mu wszyscy ludzie ze wsi, pomagali mu też ukrywać się przed okupantem. Na kartach książki pokazano tych, którzy polegli w walce z bronią w ręku, jak i tych, którzy byli ofiarami totalnego terroru faszystowskiego okupanta, choć nie angażowali się w walkę zbrojną.

Bohater książki dojrzewał właśnie w tamtym czasie. Jego „dorośleniе" dokonywało się w ciężkich warunkach i to chyba przyśpieszyło proces kształtowania się jego światopoglądu i postawy.

Dzięki wprowadzeniu do akcji epizodów, w których biorą udział różni ludzie, otrzymujemy obraz środowiska wiejskiego i jego losów w okresie wojny. Autor podkreślił we wstępie, że to tylko wycinek tamtej rzeczywistości, że pełny obraz można by otrzymać dopiero po zsumowaniu losów różnych wsi, tysięcy gromad w całym kraju. Sądzę jednak, że poprzez losy poszczególnych bohaterów przedstawionych na kartkach tej książki, reprezentujących przecież typowe losy ludzi żyjących w tamtych czasach — otrzymaliśmy niejako syntezę, w której niejeden człowiek doszuka się analogii, czy paraleli własnych dziejów.

Książka zawiera niewiele opisów, akcja toczy się wartko, dzieje zostały pokazane poprzez plastycznie zarysowane postacie bohaterów. W partiach opisowych, skąpych zresztą — znajdziemy niepowtarzalny urok rustykalnego krajobrazu i natury. Wspomniany obraz narysowany przy pomocy kilku zaledwie zdań — znajdziemy już we wstępie tej uroczej książki. Główna jej zaleta polega przede wszystkim na tym, że Tadeusz Papier ukazał nam doświadczenie egzystencjalne poszczególnych postaci, w powiązaniu z losami całego narodu, który walczył o prawo do istnienia. Książka jest nam tym bardziej bliska, że akcja jej toczy się w naszym regionie.

Tadeusz Papier: „Dziadek i Róża", Wyd. Łódzkie, Łódź 1968, cena 10 zł str. 121.

Półka z książkami

SKARBNICA PAMIĘCI

Pamiętniki księdza Kitowicza oraz Imć Pana Paska od dawna należą do ulubionej lektury całych pokoleń Polaków ponieważ potrafimy cenić autentyki i smakowitość stylu. Dzięki zasłużonemu Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich przyjdzie nam tę listę bestsellerów wszech czasów rozszerzyć o jeszcze jedną pozycję. Jest nią memuar nadwornego lekarza króla Władysława IV nazwiskiem Maciej Vorbek-Lettow. Ten zasymilowany Niemiec przedstawia w kronice swego rodu „różnych spraw domowych jako i potocznych przypomnienia godnych i potrzebnych opisanie zachowując" własne perypetie na tle wydarzeń, którymi żyła Korona Polska w pierwszej połowie XVII w.

W porównaniu z Paskiem czy Kitowiczem pamiętnik ten może wydawać się ubogi, choć znajdziemy w nim całe partie, które mimo drobiazgowości zapisków a może właśnie dzięki nim, potrafią wzruszyć i zainteresować. Ale jako całość kronika Vorbeka-Lettowa przynosi sporo wiedzy z dziejów kultury polskiej okresu, który tak bardzo zaważył na losach Rzeczypospolitej i już choć by dlatego warte jest naszej uwagi. Jeszcze więcej możemy dowiedzieć się z niej o życiu codziennym w tamtych czasach i to, mimo literackiej słabości książki, czyni ją szczególnie atrakcyjną. Tam zresztą, gdzie nie może wić czytelnika najpierw swoją osobą, a potem piękną opowieścią o Złotym Rogu.

Na poprzednich 39 stronach były tylko „drobne punkciki zdarzeń", stanowiące jedynie pretekst do teoretyczno-filozoficznych rozważań. Na dalszych stronach książki Sztajnert również teoretyzuje, ale robi to coraz rzadziej. Zdarzenia przybierają na rozmachu i na sile: dramatyczna śmierć matki narratora, jej pogrzeb, niezaspokojona w swej chciwości ciotka, drapieżnie natarczywa pani Walentyna, leitmotiv domu i podwórka z nieodłącznym odgłosem piły tnącej drewno i wyciem złośliwego pieska należącego do sąsiada z góry...

Stosunek pisarza do zdarzeń nie jest już zimnym stosunkiem teoretyka do faktu. Jego napięcie psychiczne i emocja rozsadzają mały, podwórkowy światek i jego sprawy. Odczuwa się tu wymiar, który już nie został objęty zimną, wyspekulowaną geometryzacją.

* * *

Bernard Sztajnert jest autorem prawie dziesięciu książek. Znany jest jego oryginalny talent od wielu lat. I od wielu lat jest on wierny udostępnianym nam już wielokrotnie własnym doświadczeniom i realiom ze swego najbliższego środowiska.

To chyba dobrze. Bez realiów — jak do niedawna mówiło się powszechnie — nie ma wielkiej literatury. I dlatego namawiałbym Sztajnerta do kontynuowania w swej twórczości warstwy zdarzeniowo - realistycznej. Wydaje mi się, że powinien on mieć większe zaufanie do owych sceptycznie traktowanych „zdarzeń występujących w czystej postaci", że zdarzenia te mogą zaatakować świadomość czytelnika z nie mniejszym skutkiem, niż teoretyczne rozważania na ich temat.

Bernard Sztajnert: „Księga zdarzeń". Wydawnictwo Poznańskie 1968, str. 215, cena zł. 15.—

Maciej Vorbek-Lettow: „Skarbnica pamięci", Wyd. „Ossolineum" 1968, str. 293 + indeks nazwisk i nazw geograficznych.

GALLACHER

Pamiętniki polityków, wobec pieczęci nałożonych na archiwa najnowszej historii każdego właściwie kraju, stanowią zawsze wielką atrakcję czytelniczą. Jest to, obok sensacji prasowych, jedyna droga, którą niedyskrecje polityczne docierają do wiadomości ogółu. Niedyskrecje te są przy tym firmowane jakimś znanym i zasłużonym nazwiskiem, mają więc zazwyczaj rangę większą niż na wpół anonimowe rewelacje dziennikarskie, które często okazują się przysłowiową kaczką.

William Gallacher, przewodniczący Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii w latach 1956—1963 przedstawia w tomie zatytułowanym „Ostatnie wspomnienia" swoją drogę do socjalizmu. Zasłużony działacz międzynarodowego ruchu robotniczego kreśli w swojej kolejnej książce historię brytyjskiej partii komunistycznej i jej związki z komunizmem na całym świecie, wydobywając na światło dzienne karty mało znane lub nieznane w ogóle do tej pory. Nie jest to jednak monografia historyczna: książka ma charakter osobisty, bardzo intymny i ze względu na niepospolity talent literacki autora można ją rozpatrywać także w kategoriach artystycznych. Jeśli nie daje pełnego wizerunku partii, daje krwisty, rzetelny rysunek jej czołowego działacza, autoportret żywy, szczery, nieprzesłodzony. Chciałoby się częściej spotykać takie książki, także traktujące o naszych, krajowych sprawach.

Pisząc o tej pozycji nie wolno nam pominąć zasług tłumaczki, Henryki Bielickiej, która jak się wydaje w swoim pięknym przekładzie starała się możliwie najwierniej przekazać myśli Gallachera polskiemu czytelnikowi. I jeśli można mieć jakieś pretensje, to jedynie do wydawcy, który ustalając nakład książki na 2000 egzemplarzy uczynił ją trudno dostępną na rynku i prawdziwie ekskluzywną.

K. F.

W. Gallacher: „Ostatnie wspomnienia", K i W, 1968, str. 436

Fot. A. Wach

MARYLA LEŚNIEWSKA

Na łamach „Odgłosów" (nr 50, z 15.XII.68 r.) pan Andrzej Makowiecki zastanawiając się nad przyszłością łódzkich „siódemek", zaproponował zmianę profilu klubu. Wydaje mi się, że Pan Redaktor nie bardzo zna łódzkich studentów. Postaram się więc udowodnić, że my nie pragniemy absolutnie żadnych zmian.

JACY JESTEŚMY my studenci?

Studiuję filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. Chcąc zapoznać redaktora Andrzeja Makowieckiego z moimi kolegami, zmuszona jestem podzielić ich na trzy zasadnicze grupy. Pierwszą grupę stanowią instrumentaliści, drugą pewniacy, trzecią tumiwisiści.

Instrumentaliści to są tacy moi koledzy, którzy uważają, że utwór literacki jako taki może być rozpatrywany li tylko instrumentami analizy formalno — estetycznej, gdyż jest tylko dziełem sztuki, niczym więcej. Uprawiają oni niebywały w żadnym innym zawodzie (od stolarza do chirurga) kult narzędzi pracy, które zwą właśnie instrumentami. Pech naszej rodzimej literatury (jak już nasi instrumentaliści zauważyli, a Pan Makowiecki zapewne jeszcze nie) polega na tym, że ze względu na prymityw strukturalny jej utworów nie daje one wdzięcznych możliwości do zastosowania tych wyrafinowanych narzędzi. Zajmują się więc badaniem dzieł pisarzy obcych. Jest pewnym paradoksem, ale jak wiadomo tylko pozornym, że metody badawcze stosowane przez moich kolegów nie nadają się również do analizy utworów autorów miary światowej, zwłaszcza klasyków. Idealnie pasują natomiast do rozpracowywania dzieł pisarzy mało komu znanych (zachodnich). Największą satysfakcję intelektualną sprawia koledze instrumentaliście badanie utworu, którego autor i tytuł nie są znane drugiemu mojemu koledze instrumentaliście. Instrumentaliści (mimo że filologia polska, to kierunek w 80% babski) to przede wszystkim mężczyźni. Bo któraż z moich koleżanek zdoła osiągnąć ów szczyt wtajemniczenia, jakim są metody badawcze moich kolegów — intelektualistów. Nasze dziewczyny wolą rozmawiać o swych bri nylonowych ciuchach. (Ciuszek ów kosztuje w komisie i u prywatniaków 1250 zł. Czasami jednak ciocia z Ameryki przyśle ukochanej siostrzenicy bluzeczkę, która się właśnie szczęśliwie podarła jej pannie służącej. Gdy ciocią jest spryciara i ową naddartą szmatkę jeszcze doplami, to cło za ów szał wynosi 50 gr.). Właśnie ze względu na pasjonujący bluzkowy problem, moje koleżanki nie mają ani siły, ani dostatecznej ilości czasu na przyswojenie sobie choćby sa-

mej terminologii naukowej instrumentalistów — terminologii rozbudowanej do rozmiarów odrębnego języka. Próbki owego języka nie przytaczam, ponieważ nie ustępuje mu pod względem trudności jedynie południowokantońska odmiana języka chińskiego Kuań — hua. Instrumentaliści to jedyni z moich kolegów, którzy czytują poezję współczesną i proszę sobie wyobrazić m.in. i polską.

Nietrudno się chyba domyślić, że instrumentaliści mają niewiele czasu na lekturę utworów pisarzy polskich, dlatego też czytają jedynie wiersze Kawińskiego, Grochowiaka, Brylla, Nowaka i Harasymowicza. Herbert jest już niemodny, a Różewicz ...cóż, dobre dramaty, „Moja córeczka", poza tym wszystko to łatwizna. Zbyt trudna natomiast jest dla nich lektura wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza. Pochodzi to stąd, że jak wspomniałam koledzy instrumentaliści doskonale znają literaturę obcą (nową), natomiast ich znajomość literatury polskiej renesansowej i barokowej pozostawia wiele do życzenia. A to jest przecież podstawą do analizy wierszy tegoż poety. Dzisiejsza poezja polska według śmietanki polonistycznej tymi tylko nazwiskami stoi. Żaden z naszych łódzkich poetów nie jest przez nią czytywany. Nie dziwota więc, że na prelekcję łódzkiego poety nie przychodzi do uniwersyteckiej kawiarenki nikt. (Instrumentaliści solidaryzują się w tym wypadku bezwiednie, ale nie mniej bardzo silnie z kolegami pewniakami i kolegami tumiwisistami).

Pan Redaktor Makowiecki pozwoli, że zaznajomię Go z kolei z kolegami pewniakami. Charakteryzuje ich najwyższa średnia ocen egzaminacyjnych w indeksie. Proszę jednak nie myśleć, że ci moi koledzy straszliwie się przemęczają, chcąc uzyskać oceny pozytywne. Pewniacy doskonale znają spisy lektury obowiązkowej na dany rok. Pewniacy z reguły przygotowują się do ćwiczeń. Asystent żąda n.p. „Proszę przeczytać z „Historii literatury polskiej" Krzyżanowskiego strony od 11 do 23". I student czyta ów tekst minut 15. (Starannie licząc kartki, aby się tylko nie omylić i nie przeczytać za dużo). Dzięki umiejętności gruntownego zapoznawania się ze spisem lektur, polonista — pewniak wie, kto napisał n.p. „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego", natomiast nie obarcza sobie głowy na przykład zbędną wiadomością, kto jest autorem „Sobola i panny". Polonista — pewniak wie kto jest autorem „Pieśni Janusza", a nie musi wiedzieć kto napisał „Przygody młodości imć Pana Benedykta Winnickiego". Wymagana jest znajomość „Nowej Heloizy" Rousseau, więc pewniak bardzo jest zmartwiony, gdy przez pomyłkę przeczyta „Wyznania" tegoż autora. Dla tej grupy moich kolegów literatura polska kończy się na 1918 r. Literatury współczesnej nie zna się w tym kręgu w ogóle. Któż by się tam zastanawiał, co to takiego autentyzm, kwadryga, o Czerniku i Piechalu wie się tutaj mniej więcej tyle, że są to jacyś tam poeci i że zdaje się mieszkają w Łodzi, fakt który dyskredytuje obu poetów w ich oczach, tak jak i w oczach instrumentalistów. Pewniacy dzięki opanowaniu techniki lekturowego uczenia się nie cierpią na permanentny brak czasu, jak n.p. instrumentaliści. Wprawdzie spis lektury jest dość obszerny, ale zawiera wiele utworów o których coś, gdzieś się słyszało, więc z reguły do nich się nie wraca. Wie się kto to była Maria Konopnicka. Nawet zasłyszało się od instrumentalistów, że mówi się o niej „pani Konopnicka" i że to stara nudziara, nie mniejsza zresztą od wszystkich pozostałych pisarzy lekturowych. Pamięta się w przybliżeniu problematykę utworów — Prusa, Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Krasińskiego. O utworach Mickiewicza — wiadomo, świętość narodowa, ale ostatni raz miało się je w ręku w X kl. ogólniaka. Polonista pewniak, gdy po III roku studiów obierze sobie specjalność językoznawczą, dochodzi do logicznego wniosku, że jego rola w zaznajamianiu się z literaturą polską ograniczyć się musi do minimum. Pewniak historyk lub teoretyk literatury zupełnie nie czyta literatury z dziedziny językoznawstwa. Należy żyć pełnią życia, Panie Redaktorze Makowiecki!

Dość liczną grupę moich kolegów stanowią tumiwisiści. Od pewniaków różnią się nie tylko ocenami, ale i systemem pracy. Podczas gdy pewniak czyta z „Historii literatury polskiej" Krzyżanowskiego strony od 11 do 23, tumiwisista tego nie robi. I proszę sobie wyobrazić nie zna dokładnie spisu wymaganej lektury. Ale gdy pewniak przystępuje do egzaminu wypoczęty, uśmiechnięty i świadom posiadania wielkiej wiedzy, tumiwisista na 3 dni przed egzaminem nie je i nie śpi. Pewniak wie nie wiele, ale jego wiadomości są choć w minimalnym stopniu usystematyzowane. Tumiwisiście w tydzień po egzaminie miast znajomości literatury zostają w głowie złote myśli typu: Mochnacki był jak trup blady i umiał dobrze grać na klawikordzie, a Słowacki kochał się nie tylko w Ludwice, ale i w Bobrowej, w której zresztą jeszcze ktoś się tam kochał. Literatura nie jest naszą pasją, Redaktorze!

Interesujemy się za to filmem. Tzn. od czasu do czasu chodzimy do kina. Instrumentaliści oglądają tylko filmy studyjne typu „8 i pół", „Zeszłego roku w Marienbadzie", „Powiększenie". W tym kręgu filmów produkcji rodzimej z reguły się nie ogląda, a jeżeli to tylko Skolimowskiego. Pewniacy uwielbiają komedie i filmy ilustrujące dzieła literackie, wchodzące w zakres literatury obowiązkowej. Tumiwisiści pasjonują się filmami wszelkiego rodzaju. Po prostu mają trochę więcej czasu od kolegów. Do teatru chodzimy rzadko, ponieważ spektakle odbywają się wieczorem, a jak się Pan zapewne domyśla, wieczory spędzamy najchętniej w kawiarniach i lokalach. Instrumentaliści nie chodzą „Pod siódemki", ponieważ beat — to muzyka dla mas. Do Filharmonii także nie, bo klasyka jest muzyką „strasznych mieszczan". Problemy które ich gorąco nurtują, rozwiązać można jedynie w sprzyjającej temu atmosferze. A wiadomo, że atmosferę ową posiada „Honoratka", „Syrena", „SPATiF. „Malinowa" nie dla nich ponieważ strój wieczorowy jest pojęciem względnym. Dla jednych smoking strój wieczorowy, dla innych dżinsy. Oczywiście nie wiem jaka jest młodzież na innych wydziałach. Ale sądzę, że podobna jak u nas, na filologii polskiej.

My pewniacy i tumiwisiści chętnie przychodzimy „Pod siódemki". Kochamy taniec, kochamy piosenki, kochamy piwo. („Pod siódemkami" nawet lepsze niż na Dworcu Fabrycznym, czy w Koluszkach). Wesołe jest życie staruszka. Staruszka młodego, rzecz jasna.

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Przeczytałem z uwagą reportaż red. Andrzeja Makowieckiego zatytułowany „Stary z buzią niemowlaka". Myślę, że równie uważnie, a może nawet uważniej przeczytało ten reportaż jeszcze parę osób. Boję się, że mniej uważnie przeczytało znacznie więcej osób, które wzruszyły ramionami i z pewnego rodzaju satysfakcją powiedziały innym — my już dawno o tym wiemy. Te właśnie obawy skłoniły mnie do napisania kilku słów na kanwie wspomnianego reportażu.

Trudno nie zgodzić się z red. Makowieckim co do słuszności większości jego spostrzeżeń, choć można by dyskutować nad sprawą formy, czy wyjaśniać nieścisłości. Ja jednak wolałbym pójść trochę dalej — śladem kierunków zasygnalizowanych w reportażu.

Ambicją wszystkich chyba działaczy ZSP związanych z Klubem Studentów Łodzi na przestrzeni 9 lat jego istnienia było wypracowanie takiego profilu placówki, który integrowałby najbardziej istotne napięcia społeczno-kulturalno-artystyczne środowiska studenckiego i przenosił je w formie szerokiego wachlarza imprez oraz inicjatyw na grunt ogólnołódzki.

Słowem, żeby klub reprezentował środowisko studenckie. Z drugiej strony, żeby stanowił coś w rodzaju zwierciadła, w którym przeglądałyby się najważniejsze sprawy naszego kraju, a także najważniejsze problemy międzynarodowe.

Zadaniem klubu było zawsze, żeby wychowywał w duchu zaangażowania i patriotyzmu, żeby dostarczał kulturalnej rozrywki i zabawy. Jak to wygląda dzisiaj? Jaki jest obraz naszych starań i zabiegów zmierzających w kierunku realizacji przyjętych założeń? A przede wszystkim, jaki jest obraz środowiska studenckiego emitowany przez klub?

Jeśliby traktować Klub Studentów Łodzi jako specyficzną formę zwierciadła — ekranu, to obraz studenta Anno Domini 1968 przekazywany społeczeństwu naszego miasta trzeba by określić mianem niezbyt budującym. Tak się bowiem złożyło, że od dłuższego już czasu klub ukazuje pewnego rodzaju karykaturę środowiska, choć błędem byłoby nie dostrzec sygnałów, które być może zapowiadają zmianę dotychczasowej sytuacji.

Dlaczego tak się dzieje? Czyżby środowisko akademickie w Łodzi było tak mało interesujące? A może nie mamy prawa mówić o społeczności zbierającej się w klubie w kontekście środowiska? Czym więc tłumaczyć fakt, że zdecydowaną większość bywalców klubu — to studenci i absolwenci? Bo tak naprawdę, to reszta stanowi zaledwie garstkę. Przyznając się w tym miejscu do naszych błędów administracyjnych wynikających po części z trudności obiektywnych, a po części z naszych niedopatrzeń — zgłaszam pod adresem tych autentycznych i wrażliwych na wydarzenia otaczającej nas rzeczywistości studentów naszą pretensję: dlaczego nie przychodzicie do klubu?

Dlaczego nie usiłujecie wspólnie z nami zmienić dotychczasowej sytuacji?

Czy przypadkiem nie stawiacie sobie wygodnego parawanu, za którym rozwijacie niedobrą legendę wokół K.S.Ł., powielacie krążące plotki i kontentujecie się tym, że wy jesteście inni?

Dlaczego jesteście tak mało aktywni?

Tak, tych pytań można by mnożyć wiele. Zdaję sobie sprawę z tego, że większość z was potraktuje moją wypowiedź, jako próbę przerzucenia odpowiedzialności. Sny chotechnika. Tylko, że my podjęliśmy i będziemy nadal podejmować próby przerzucenia pomostów, a wy?

Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. W imię tego proszę, abyście nie traktowali tych pytań jako oskarżenia, bo jest w nich raczej rozgoryczenie i jednocześnie nadzieja, jest nasze zaproszenie, naprawdę serdeczne zaproszenie do współpracy z nami nad ukształtowaniem nowego oblicza klubu. Jest też prośba o krytykę, ale krytykę konstruktywną, wyrastającą z wnikliwej analizy naszych intencji, sukcesów i porażek oraz całej złożoności sytuacji klubu, nie zaś o krytykę w rodzaju tej, którą zgłosili pod naszym adresem koledzy z Redakcji „Politechnika".

Ponieważ posłużyłem się konkretnym przykładem, winien jestem odpowiednie wyjaśnienia. Zatem służę: autorzy reportażu zatytułowanego „W lokalu pod siódemkami" zamieszczonego w czerwcowym numerze „Politechnika" skarżyli się m. in. na zbyt częste przerwy w klubie. Czy jednak zastanowili się nad tym, że K.S.Ł. dysponuje w zasadzie jednym pomieszczeniem i że w związku z tym nie można sobie pozwolić na jednoczesne udostępnienie kawiarni i organizowanie jakiejś imprezy? To tylko jeden z przykładów dość pobieżnej oceny naszej sytuacji. Mógłbym ich podać znacznie więcej, ale przecież nie o to w gruncie rzeczy chodzi.

Chodzi o to, że rzeczywiście nie posiadamy odpowiednich pomieszczeń klubowych i dostatecznego zabezpieczenia finansowego, żeby móc realizować bogatszy i bardziej wszechstronny program. Chodzi o to, że musimy tolerować piwo, bo Wydział Handlu nie zezwala nam na stałą sprzedaż win wysokogatunkowych w klubie. I chodzi jeszcze o wiele innych spraw, których być może nie znacie, a tak szybko nas obwiniacie.

Nie znaczy to wcale, że my — działacze tego klubu nie ponosimy żadnej winy za obecną sytuację. Dlatego też z całą uwagą wysłuchamy waszych opinii zawierających nawet najbardziej mocne słowa krytyki, ale powtarzam — krytyki serdecznej i konstruktywnej. Chociaż trzeba tu zauważyć, że większość artykułów poświęconych K.S.Ł. charakteryzuje się jednostronnym spojrzeniem — — swoisty bilans minusów. Czyż trzeba się samemu chwalić? A przecież w ostatnim okresie zorganizowaliśmy wiele cennych i ambitnych imprez, świadczących o tym, że klub mimo piętrzących się trudności wypełnia zadania stawiane tego rodzaju placówce. Chciałbym, aby wszyscy, którzy przeczytają tych parę słów, potraktowali je jako apel nie tylko do dyskusji na temat Klubu Studentów Łodzi, ale również jako serdeczne zaproszenie do współpracy nad przyszłością tego klubu. Zawarty jest w tym także apel do życzliwych nam zawsze władz miejskich o pomoc w naszych staraniach o poprawę sytuacji lokalowej poprzez adaptację pomieszczeń piwnicznych. I wreszcie do redakcji „Odgłosów" o udostępnienie swoich szpalt na ewentualną dyskusję o klubie „Pod siódemkami".

W imieniu Rady
Klubu Studentów Łodzi

MIROSŁAW GRYCZYŃSKI

KAROL BADZIAK

Nocne życie Kiernozi

Grudniowy poranek, pogasły już neony, łukiem szosy mknie sznur samochodów. Swieżo odmalowane tablice wskazują kierunek. KIERNOZIA.W samochodach śmietanka miejskich reporterów z Łodzi i okolic. Mknie prasa, radio, telewizja, kronika. W sumie całe kino. Nad łowicką równiną unosi się zapach sensacji. Mgła się nie unosi, bo i po co. Wstaje natomiast największy dzień w życiu Kiernozi. Właściwie najważniejsze stało się już nocą. Wielki dzień poprzedziła bowiem wielka noc.

Zdecydowała się przyszłość Kiernozi. Los wioski znalazł się tej pamiętnej nocy w rękach archeologów i antropologów, a szczególnie w rękach starszego Cechu Rzemiosł Metalowych, który miał zaszczyt i przyjemność przeciąć metalową trumnę, przykrytą dębowym wiekiem i odsłonić światu, Europie i Kiernozi Wielką Tajemnicę. Dzieła zmyślnie dokonał. Mnie przy tym nie było. Zwyczaj nie spałem. Ale słyszałem od innych. Mistrz Kopka dobrał się do Wielkiej Damy dokładnie o północy. Dowiedziałem się o tym wszystkim rano na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej. Wrzawa, krzyk, ścisk, rwetes, podniecenie, docinki, wymysły towarzyszyły temu zebraniu.

Opinia publiczna szalała z ciekawości, domagając się coraz to nowych szczegółów z zapowiedzianej ekshumacji zwłok Pani Walewskiej. („Co z tą Walewską"). To nie ja i nie moje to słowa. Moją własną opinię publiczną na ten temat pozwolę sobie zachować dla siebie. Powtarzam tylko to co wyczytałem w prasie codziennej. Cytuję: „...bo opinia publiczna dalej domaga się szczegółów dotyczących zapowiedzianej ekshumacji zwłok Marii Walewskiej. A że jak powiada łacińskie przysłowie: „vox populi vox Dei" ulegliśmy więc temu głosowi..."

No proszę, ulegli. Ulegli na grandę, na hucpę, na picifotomontaż.

•

Termin ekshumacji osnuty został mgłą niespodzianki i zaskoczenia. Wiadomo było tylko, że odbędzie się ona pod ochroną nocy, jako że ochrona milicji mogłaby nie wytrzymać naporu spodziewanych tłumów zwabionych w pułapkę kruchty. Przewidywana inwazja okolicznych włościan, ogrodników, kmieci małorolnych tudzież członków kółek rolniczych nad otwartą trumną Damy o kontrowersyjnej reputacji sprawdziła się tylko w części. Większość miejscowej ludności podeszła do rzeczy z właściwym sobie wiejskim stoicyzmem, przedkładając nocny sen nad próżne wścibstwo. W komplecie natomiast w dniu N. o godz. X zjawili się nad trumną „specjalni wysłannicy", którzy z Kiernozi w wielkim pośpiechu i niesłychanym tempie przekazywali telefonicznie, telegraficznie, telefotograficznie i telexem na gorąco i na żywo przebieg wyciągania ćwieków z wieka. No cóż — vox populi vox Dei. Że co? Że w Kiernozi trudno nadawać telexem, bo go tam nie ma. A któż zaręczy, że na ten czas Rada Gromadzka lub Rada Parafialna nie sprowadziły tego sprzętu z zagranicy.

Pewien obywatel, tym razem już nie Kiernozi lecz po prostu Łodzi, dawał mi słowo honoru, że cały przebieg wydarzenia nadawała telewizja kolumbijska. Nie przeczę, wszystko możliwe. Być może lud Kolumbii bardzo kocha Marię Walewską i domagał się, więc vox populi... itd. Nasz świat pracy widocznie także, ponieważ „Głos Pracy" przysłał swego korespondenta choć Walewska nie związkowa.

Osobiście widziałem tylko jak z piskiem opon i zgrzytem hamulców zatrzymała się przed plebanią limuzyna N-tego sekretarza ambasady francuskiej. Dyplomata ów w dobrze skrojonym garniturze i adekwatnie do okoliczności przykrojonym wyrazie twarzy, ujrzawszy kotłowaninę tłumów w katechetycznej sali księdza dobrodzieja pozwolił sobie złożyć oświadczenie treści następującej: „Wobec wyraźnych oznak braku godności, jaki powinien towarzyszyć... Rząd francuski nie widzi możliwości... I uchyla się od uczestnictwa..."

Ponieważ oświadczenie miało wszelkie cechy ostrzeżenia więc ażeby załagodzić sytuację i wynikające z niej implikacje dyplomatyczne, postarano się wyprosić za drzwi kwiat polskiej reporterki miejskiej. Pół Kiernozi świadkiem. Ostał się jedynie na sali as łódzkiego „Expressu", Konrad Turowski. Widocznie komisja naukowa wyżej oceniła nienaganność jego manier niż pozostałych kolegów po piórze.

•

W każdym razie kiedy przybyłem na miejsce było już właściwie po wszystkim. Z ubolewaniem przyznaję, że atmosfera fascynacji jaka towarzyszyła wydarzeniu nie udzieliła mi się. Widocznie mam brezentowy charakter lub po prostu bardzo małą ciekawość życia... pozagrobowego. Nie mniej dzieje samej Pani Walewskiej uważam za interesujące, ale raczej te z okresu doczesności. Emilia Plater to ona nie była, aliś ci wiadomo z historii wojen, że w bitewnym zgiełku każdy oręż jest dobry. Jedno jest pewne, że romans Pani Walewskiej z cesarzem Francuzów jest świetną ilustracją do traktatu pt. „Miłość i polityka". A że traktatu takiego jeszcze nikt nie napisał (nawet Marian Brandys), to chyba już tylko zwykłe przeoczenie. Zaczekamy. Zresztą widziano Brandysa w Kiernozi, jak o nocnej porze brał udział w ceremonii przewietrzania trumien w kościelnym grobowcu. Jego obecność była tam całkiem na miejscu. To on właśnie był autorem cyklu artykułów drukowanych w „Swiecie", a poświęconych wielkiemu romansowi cesarza z polską szlachcianką. Artykuły te zainspirowały łódzkich dziennikarzy i skłoniły do rozwikłania zagadki aż do końca. Chodziło o odnalezienie miejsca ostatniego spoczynku Pani Marii, której zwłoki po krótkim acz burzliwym życiu (młodo zmarła, bo zaledwie w wieku 28 lat) spoczęły w Kiernozi.

Trumna z jej zwłokami przyjechała do Polski, serce zostało we Francji. W którym miejscu pochowane nikt dotąd nie wiedział. Dopiero ksiądz proboszcz Żukowski z Kiernozi szperając wśród starych dokumentów odnalazł zapis, który jednoznacznie potwierdza wiadomość, że szczątki Marii Walewskiej znajdują się w jego parafii. Nie zauważyłem, ażeby duma z tego powodu rozpierała kiernozian zbyt mocno. Ksiądz proboszcz zupełnie się na ten temat nie wypowiada. Splendor to dość przewietrzały. W każdym bądź razie namiętności, jakie postać jej wzbudziła w półtora wieku po śmierci, dalekie są od tych, jakie wzbudzała za życia w Napoleonie. Bądź co bądź z kościelnego punktu widzenia romans panienki z porządnego domu z żonatym mężczyzną rzuca cień na jej reputację. Dlatego ksiądz Żukowski nie zabierając głosu w tej materii czyni słusznie. Jest człowiekiem młodym, inteligentnym, wielce sympatycznym, kariera przed nim. Dość, że Walewska złamała serce cesarzowi, miałażby jeszcze zwichnąć karierę wiejskiemu proboszczowi. Tego już nadto. Wszyscy wiemy, że była kobietą piękną, damą wielkiej urody i czaru, miała wielkie urzekające oczy i usta zmysłowe o cudownej barwie „delikatesowej" polędwicy. Zresztą co tu dużo mówić, Napoleon nie tylko na wojnach się znał. Wystarczy. Poza tym wśród Polek żołnierze i Francuzi po dzień dzisiejszy mają powodzenie.

•

Na gwarnym kiernoskim rynku spotkałem bodajże ostatniego w Polsce napoleonidę. Całkiem jak subiekt Rzecki, tyle że w aparycji Colas Breugnon, a charakterze imć Zagłoby. Na wieść o ekshumacji ślicznej Pani Marii przyjechał do Kiernozi aż z Poznania. Z Poznania pociągiem nocnym, z Łowicza taksówką. Kosztowna była to podróż. Taksówkarze podwoili bowiem tego dnia taryfę.

Na obliczu niecodziennego gościa malował się smutek i żal. I rozpacz. Jechał co koń wyskoczy (telegram otrzymał w ostatniej chwili), a i tak się spóźnił. Marzył choć o jednym ćwieku z trumny Walewskiej, jeśli nie o czymś więcej. W końcu pocieszyłby się nawet ćwiekiem z trumny jej starszej siostry, ale i to nie wyszło.

Podobno Dunin-Borkowski z Krośniewic zabrał z sobą aż trzy ćwieki. Okazuje się, że dla zbieraczy pamiątek i utensyliów związanych luźno bo luźno, z Napoleonem taka ekshumacja to większa frajda niż dla dziennikarzy. Spadli tego dnia na Kiernozię jak sępy.

Mój oryginalny znajomy z rozpaczy i bolu udał się do miejscowej gospody, gdzie płynem z „pierśiówki" zaczął leczyć stracone złudzenia. Czynił to wyjątkowo skutecznie w gronie nad wyraz gościnnych miejscowych gospodarzy. Biesiada w tej przypadkowej, lecz miłej kompanii miała urok osobliwy, a kelnerka, która nas obsługiwała po każdym kolejnym kieliszku coraz bardziej była podobna do Pani Walewskiej. Pod koniec biesiady wesoła kompania orzekła zgodnie, że już żadnej różnicy między paniami nie ma.

Po paru kieliszkach nasz nowy przyjaciel rozwinął się zupełnie. Okazał się starym, rozparcelowanym szlagonem, oczajduszą, biboszem nie lada oraz blagierem i właścicielem tronu po Napoleonie. Zdjęcia tego tronu miał w zanadrzu. Zdjęcie pałacu, w którym niegdyś mieszkał także miał ze sobą. Chłopi z zainteresowaniem oglądali i fotel i pałacyk, oczywiście na zdjęciu. Na właściciela jednakowoż z większym spoglądali podziwem. Ale bez znacznego uznania. Spostrzegłem że bardziej imponowała im czynność, która zwiększała fiolet jego ogromnego nosa niż fotografia cesarskiego tronu.

Jeden z gospodarzy co chwila pytał uporczywie: — „Panowie, a zakład tu jaki wybudują?" Reszta w znojnym milczeniu siedziała przy stołach. Nogami opierali się o ziemię, głowami o niebo, rękoma o blaty stolików. Ironicznie spoglądali na ostatniego chyba w tym kraju monarchistę, który na zew naszej prasy przyjechał aż do Kiernozi ujrzeć cesarską kochankę. Zawiódł się stary szlachciura. Wszyscyśmy się zawiedli.

Dwa razy o Walewskiej i Kiernozi

OD REDAKCJI:

Fala zainteresowania piękną Polką, Marią Walewską, zdaje się opadać. Przelano już „morze atramentu" w tej sprawie. Nasze pismo, które nie zajmowało się ani Marią Walewską, ani Kiernozią, publikuje poniżej dwa materiały, próbujące (i żartem i serio) ustosunkować się do w/w problemów.

ROBERT GLUTH

Przerwa w życiorysie nietoperza czyli starszy belfegor z Kiernozi

(RELACJA OPARTA O ABSOLUTNIE SPRZECZNE ZE SOBĄ OPOWIEŚCI NAOCZNYCH SWIADKOW)

Szanowny Panie Redaktorze — że zacznę tak, jak nasz przyjaciel, wielkiej klasy artysta i znawca województwa łódzkiego Kondek — muszę Panu donieść, że w Łodzi szykuje się proces Tysiąclecia, o którym musimy jakoś poinformować opinię publiczną, bo ona tak czy owak o wszystkim się dowie. I tak już każdy obywatel przemierzający corso ulicy Piotrkowskiej o niczym innym nie mówi.

Łódź, grudzień 68

Dziś zatrzymał mnie pewien mocno pachnący piwem osobnik i powiada: „Proszę pana, gdzie ci dziennikarze znajdą salę na 200 osób, żeby sobie zorganizować ten proces". Za chwilę inny facet, od którego jedzie tym razem bardzo dobrym wermutem Cora-bianco — powiada: „No, panie, przecież w Łodzi nie ma sali na 2 tysiące osób!" W końcu przemiły gość reprezentujący starsze pokolenie, a pachnący słonecznie koniakiem Caviniac zapytuje: „Ja bardzo pana przepraszam, ale na dobrą sprawę na 20 tysięcy osób trzeba by wybudować dwie hale sportowe..." I oddala się powolnym kroczkiem.

Należałoby wreszcie wyjaśnić o co miłym rozmówcom chodzi. Spojrzenie retrospektywne jest w jakimś tam sensie modne... zaczynamy więc rzecz od pieca.

Kiernozia, XX wiek, noc

Tupanie. Śladami przedstawicieli United Press z miasta Urga (dziś Ułan Bator), przedstawiciel „Expressu" łódzkiego oraz „Kuriera Polskiego" w jednej osobie zamyka listę wchodzących do krypty pośrodku starego cmentarza. Gałęzie. Wiatr. Tupanie. To Kiernozia tupie. Sumiaste wąsy, baranice. Ej, uhaha. Wszyscy obywatele. Dwa plutony milicji z Łowicza, Kutna, sam pan komendant Kiernozi. Też tupią. W krypcie jest już pan profesor K. I bardzo bardzo dużo V.I.P. (szukać w słowniku wyrazów obcych co to oznacza, bat) A reszta jak w opowiadaniach Poego: cisza, trumny, lekkie stąpanie w krypcie i tupanie na zewnątrz. Jak się rzekło, przedstawiciel „Expressu" zamknął listę wchodzących. Kordon dwóch plutonów zamknął wejście. W tym momencie z wizgiem zajeżdżają samochody, hamują, wysypują co mają wewnątrz. Błyski fleszów, ciche kroki coraz bliżej. Kamery błyszczą, a jak się rzekło przedstawiciel „Expressu" zamknął listę wchodzących.

Na zewnątrz tupią już nie tylko obywatele Kiernozi, ale również przedstawiciele „Dziennika Łódzkiego", „Głosu Robotniczego", „Głosu Pracy", CAF-u itd. itd. Krótko mówiąc, sytuacja dosyć jasna:

— Panowie, reprezentujemy CAF — powiada reprezentant odnośnej instytucji.

— Zjeżdżaj pan stąd, — odpowiada przedstawiciel odnośnej instytucji.

— Do jasnej cholery — replikuje przedstawiciel odnośnej instytucji.

W tym momencie resztę dialogu przerywamy, z uwagi na to, że „Odgłosy" czytywane są również przez młodocianych czytelników.

Tymczasem sytuacja wewnątrz: mistrz blacharski, mistrz ciesielski, mistrz grabarski z innymi mistrzami otwierają trumnę. (Brr!) Przedstawiciel Szkoły Filmowej: nie otwierać! Mistrzowie opuszczają wieko z przerażeniem. Przedstawiciel Szkoły Filmowej zmienia taśmę, więc teraz już można. Mistrzowie otwierają trumnę (brr!). Słynny pan B. zapinając kożuszek: „To na pewno Walewska — widzę pszczółki napoleońskie." Przedstawiciel „Expressu", reprezentujący całą prasę światową w tym miejscu (reszta tupie na zewnątrz kordonu): „Panie, jakie pszczółki, jakie pszczółki?" Pan B. nie odpowiada. Po chwili profesor K.: „Nic z tego, ta kobieta miała sześćdziesiąt lat".

Druga trumna. Mistrzowie unoszą wieko. W tej chwili pisk. Przedstawiciel „Expressu": „Co tu piszczy?" Pan B. zapinając kożuszek: „Chwilowo nie wiem." Profesor K.: „Za chwilę wyjaśnię... Nietoperz. Zakłóciliśmy sen nietoperza."

Obecnych ogarnia szał. Trzecia trumna, w niej jakieś kartki. Przedstawiciel czegoś tam: „książeczka do nabożeństwa!" Na to asystent profesora K. z pincetą w ręce: „To czytaj pan: młoda przystojna pozna przystojnego. Icek Rosenkranz reperuje bardzo szybko wszystkie nogawki..." W tym momencie wdziera się do krypty redaktor Piotr G. W sumie wdziera się tam kilkadziesiąt osób. Padają wyzwiska. Przedstawiciele zaprzyjaźnionej ambasady nie wiedzą do kogo się to wszystko odnosi. Nie zdają sobie sprawy, że to są przyjacielskie pogwarki. Przedstawiciel „Expressu": „Gdybym ja tam tupał, to bym pobił tego kto jest wewnątrz." Ot, altruista. Przedstawiciele zagranicznej ambasady, korzystając z zamieszania, udają się do Warszawy. Przedstawiciel CAF siedząc okrakiem na trumnie — „proszę powtórzyć!" Nietoperz tymczasem zmienił miejsce pobytu. Przedstawiciel Szkoły siedząc w trumnie: „proszę powtórzyć wszystko od nowa". Nietoperza brak.

Wszyscy są weseli, padają przyjacielskie słowa na „k" i na „d". Na zewnątrz Kiernozia tupie.

Zmęczeni przedstawiciele tego i owego wchodzą do knajpy. Brodaty przy bufecie powiada: „Chłopcy rozsuńta się!" Przedstawiciel ordynuje: „Setkę proszę!". Brodaty patrząc na niego z podziwem: „Cie, cie, tak świetnie mówi po polsku!" Po chwili wszyscy są rozgrzani.

Nazajutrz bomba — skoro świt, koło południa Polska Agencja Prasowa telegrafuje: „Zwłok pani Walewskiej nie zidentyfikowano". Odnośni przedstawiciele upinają nieużyteczny serwis fotograficzny nad łóżkami, na placu zostaje bohater dnia red. K.T. z „Expressu Ilustrowanego" i wiszący nad nim jak miecz Damoklesa proces honorowy. Bo dlaczego nie wpuścił konkurencji, za co nie wpuścił i co on sobie właściwie myślał.

Bardzo Pana Redaktora przepraszam, że coś tutaj że jest niezrozumiałe, ale wczuwam się w los nietoperza, który myślał sobie głównie: „Po co ta cała chryja".

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„Księżyc świeci nieszczęśliwym"

Croswell Bowen, jeden z najbardziej wnikliwych irlandzkich biografów i badaczy życia i twórczości Eugene O'Neill'a powołuje się na pokutujący jeszcze w Irlandii przesąd (O'Neill był z pochodzenia Irlandczykiem), według którego pewne rodziny są obciążone z pokolenia na pokolenie klątwą losu, która spada na żyjących i czeka na ich potomków. Zdaniem Bowena, największy amerykański dramaturg, laureat nagrody Nobla (1936) był by właśnie przykładem takiego człowieka prześladowanego przez nieubłagany los. Bowen stara się „udowodnić" swoją „hipotezę wskazując na rozdarcie charakteryzujące już pożycie małżeńskie rodziców przyszłego dramaturga (matka wychowana w surowych rygorach katolickiej moralności nie mogła się nigdy pogodzić z upokarzającą sytuacją życiową męża, który marnował swój talent aktorski grając w objazdowych teatrach po sześćset (!) razy w nędznych adaptacjach scenicznych „Hrabiego Monte-Christo" Dumasa). Biografia O'Neill'a również zdawałaby się potwierdzać złowrogie działanie irlandzkiego przesądu, wyrażające się w „obciążeniu dziedzicznym" wielkiego dramaturga. Próba samobójstwa w dwudziestym pierwszym roku życia, jego dalsze burzliwe i nieustabilizowane życie wędrownego aktora (włóczącego się po świecie z ojcem w objazdowych teatrach), następnie — życie marynarza, robotnika portowego, reportera, pobyt w sanatorium dla gruźlików, trzykrotne nieszczęśliwe małżeństwa i wreszcie — ostatnie lata życia i pracy pisarza zatrute chorobą Parkinsona. Sądzę więc, że można by o „hipotezie" Bowena powiedzieć „Si non è vero, è bene trovato", czyli: jeżeli nieprawdziwa, to przynajmniej zręcznie pomyślana. Jeden wszakże aspekt w biografii O'Neill'a zaprezentowanej przez Bowena zasługuje na potraktowanie go serio: to wniosek, że O'Neill pomimo niezwykłego talentu i zdolności współczucia i rozumienia doli człowieczej był sam jednostką wyobcowaną, nie umiejącą nawiązać kontaktu z ludźmi. Potwierdza to chyba wystawiona na scenie Państwowego Teatru Nowego sztuka „Księżyc świeci nieszczęśliwym" Jej tytuł w oryginale brzmi „A moon for the Misbegotten". Słowo misbegotten oznacza — nielegalnego, nieprawego, nieślubnego. Profesor Przemysław Mroczkowski w artykuliku do programu tłumaczy to słowo jako — pokraczny, opacznie poczęty, i chyba takie rozumienie jest słuszne. „Pokraczny" wydaje się najbliższy znaczeniu jakie by należało przypisać pokrętnym dyspozycjom psychicznym postaci „Księżyca". Odnosi się to szczególnie do Josie Hogan, w której pod zewnętrzną powłoką grubiaństwa bije serce kobiece spragnione prawdziwego uczucia. Zofia Grąziewicz trafnie rozłożyła sprzeczności cechujące osobowość Josie nie przekraczając przy tym granic, których naruszenie groziło melodramatem: była w miarę ordynarna i w miarę ufna i czuła dla brata, ojca i swego ukochanego Jima Tyrone'a.

Róża Czaplewska (Josie Hogan) i Ludwik Benoit (Phil Hogan).

Rolę Josie grają dwie aktorki. Róża Czaplewska, aktorka wysokiej klasy, nie posiada odpowiednich warunków zewnętrznych, i wyda je się zbyt delikatna jak na wiejską ordynarną dziewczynę, jakkolwiek gra znakomicie. Grąziewicz w pierwszym akcie była ponura i zła jak osa. Dzięki temu przejścia od szorstkości do objawów uczucia dla Jima miały w interpretacji Grąziewicz silniejszy wyraz.

To samo co o Zofii Grąziewicz można powiedzieć o Wojciechu Pilarskim w roli Jima, dotkniętego klątwą alkoholizmu, a przecież niepozbawionego jeszcze ludzkich uczuć, przyjaźni, miłości i szacunku dla ludzi. To bardzo trudna rola. Wojciech Pilarski przedstawił Jima na krawędzi psychopaty (opanowanego przez alkohol) i człowieka, który w poczuciu odpowiedzialności za siebie i za innych ratuje swoją ludzką godność. Opowieść o zmarłej matce była sama w sobie popisem sztuki aktorskiej Łatwiejsze zadanie miał Ludwik Benoit w roli Phila Hogana, mniej skomplikowanego, bardziej jednolitego. Benoit zagrał tę rolę z właściwym mu temperamentem i niepohamowaną żywiołowością amerykańskiego farmera. Odpowiadał on bezbłędnie wyobrażeniom, jakie na podstawie powieści i filmów mogliśmy sobie wyrobić o właścicielach i dzierżawcach farm na dzikim Zachodzie.

Wracam do sprawy wyobcowania O'Neill'a. Wszyscy troje (Josie, Tyron i Phil) to właściwie ludzie wyalienowani ze społeczeństwa bądź przez alkohol, bądź przez niemożność urzeczywistnienia swych zamiarów i pragnień (Josie), ludzie, którzy utracili kontakt z otaczającym ich światem i zostali skazani na samotność, choć by nawet mieli u boku ojca (jak Josie) lub córkę (jak Phil). Dlatego sądzę, że musi być w tej sztuce wiele z osobistych dramatów autora. Syn Phila Hogana (Zbigniew Nawrocki) opuszcza dom rodzinny nie mogąc żyć w nieznośnej atmosferze wiecznych kłótni i krętactw ojca. W rzeczywistości O'Neill wydziedziczył swego syna z drugiego małżeństwa. A już najbardziej obcy świat tu jest akcjonariusz względnie przedstawiciel firmy Standart Oil Company — pan Harder. Tę epizodyczną rolę zagrał przekonywająco Dobrosław Mater.

„Księżyc świeci nieszczęśliwym" to pod każdym względem niezwykle interesująca sztuka. Tylko autor tej miary co Eugene O'Neill mógł przedstawić tak fascynującą widza od początku do końca wizję świata, w którym żyją ludzie napiętnowani klątwą losu.

Państwowy Teatr Nowy
Eugene O'Neill „Księżyc świeci nieszczęśliwym"
Reżyseria: Wojciech Pilarski
Scenografia: Henri Poulain

Spektakle tygodnia

TEATRY

	spektakle	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza",	1	1276	95
„Jezioro łabędzie",	1	1276	95
„Romans gdański",	1	1150	90
„Così fan tutte",	1	1024	80
„Kniaź Igor",	1	1276	100
NOWY			
„Czerwone pantofelki",	6	4200	100
NOWY			
Mała Sala			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	3	600	100
JARACZA			
„Przedwiośnie",	4	1774	72
7,15			
„Zajączek Zorro",	2	844	100
OPERETKA			
„Dziękuję Ci, Ewo",	1	442	50
„Czerwony kapturek",	3	2007	96
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Fircyk w zalotach",	2	285	50
„Mieszczanie",	2	285	50
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	950 słuch.	90

TP OBIEKTYW

Trochę wspomnień – trochę refleksji

W 24-letnim (już krok tylko do ćwierćwiecza!) okresie, jaki dzieli nas od wyzwolenia Łodzi, okresie obfitującym w wydarzenia i przemiany, dzieje telewizji łódzkiej stanowią odcinek czasowy mniej więcej o dziesięć lat krótszy. Po adaptacji skromnych pomieszczeń na XIII piętrze wieżowca przy zbiegu ulic Sienkiewicza i Narutowicza oraz po montażu aparatury studyjnej i nadawczej — pierwszy program w zasięgu lokalnym poszedł w eter w dniu 22 lipca 1956 roku. Łódzki Ośrodek Telewizyjny zaczął swój pracowity żywot.

A swoją drogą ani się spostrzegliśmy, a historia telewizji w naszym mieście prosi się już o kronikarza. Ktoś powie, że kilkanaście lat to mało, to jeszcze nie historia. Zgoda, ale lata pionierskie liczyć się powinno podwójnie, albo potrójnie. Pamiętam skromniutkie studio w 1956 roku o rozmiarach normalnego pokoju mieszkalnego. Ledwie ruszać się można było wśród kamer, statywów i plątaniny kabli, a żar bijący z bezpośredniej bliskości reflektorów czynił już po kwadransie trwania programu atmosferę wręcz nie do wytrzymania.

Gdzie te czasy! Młodzi ludzie, którzy w tym miniaturowym podniebnym studiu wdrażali się w arkana nowej sztuki i przeżywali fascynację czarodziejskimi możliwościami tkwiącymi w aparaturze elektronicznej, zdążyli nabyć wiele doświadczeń i niejeden srebrny włos zaśnił na ich skroni. Ani się spostrzegli, jak od hobby i eksperymentu przeszli do profesjonalnej perfekcji.

Potem w 1958 roku przeżył ŁOT swój wielki dzień. Wejście do nowego studia, przeniesienie się z XIII piętra na parter. Po poprzednich klitkach nowy lokal wydawał się pałacem. Ponad dwieście metrów kwadratowych powierzchni studia, francuska aparatura, którą można było śmiało określić jako ostatni krzyk techniki, obszerne — jak się wówczas zdawało — zaplecze. Cała Polska patrzyła na Łódź z zazdrością.

Tak, ale od tego czasu, to jest od lat blisko jedenastu, niewiele już się zmieniło. Kamery, konsoleta miksерska i telekino marki RTF eksploatowane przez tyle lat bez przerwy, to już staruszki. Tym bardziej, że technika poszła naprzód i to nie byle jak. Pamiętajmy, że w 1958 roku nie było jeszcze załogowych statków kosmicznych, komputerów, lasera, ani naddźwiękowych samolotów pasażerskich. W elektronice odnotowujemy wszechstronny rozwój. Piękne rezultaty osiąga krajowy przemysł teletechniczny, produkujący już samodzielnie tory kamerowe, wozy transmisyjne i wszystkie niemal najbardziej skomplikowane urządzenia.

Z tego bujnego rozkwitu technicznego skorzystały na przestrzeni ostatnich lat wszystkie niemal ośrodki telewizyjne w kraju, a zwłaszcza Warszawa, której wyposażenie techniczne uznać dziś można za dobre, oraz Katowice, Kraków, Gdańsk, Wrocław. Natomiast w Łodzi poza nieznaczną modernizacją parku oświetleniowego i zdobyciem czwartego toru kamerowego — nic się właściwie nie zmieniło: Mówiąc to, mam na myśli wyposażenie studyjne. Bowiem w zakresie techniki nadawczej zyskaliśmy nowy ośrodek w Zygrach, który choć wiele nam jeszcze dostarcza zgryzot, ale stwarza perspektywę rozwiązania problemów przekazywania obrazu w najbliższym czasie.

Tak więc ŁOT na tle innych ośrodków w kraju stał się niepostrzeżenie sędziwym staruszkiem. Najwyższy czas, by władze Komitetu do spraw Radia i Telewizji zajęły się poważnie potrzebami Łodzi w zakresie sprzętu telewizyjnego. W numerze noworocznym pisałem o tym, że obiecuje się Łodzi w tym roku przydział kamery dźwiękowej i wozu transmisyjnego. Nie rozwiąże to całości potrzeb, ale będzie stanowiło poważny krok naprzód. Dlatego trzeba by zrobić wszystko, by obietnice zrealizowały się. Zależy to częściowo od łódzkich władz miejskich, które muszą dopomóc telewizji w uzyskaniu odpowiednich pomieszczeń dla wozu i kamery dźwiękowej. Niezorientowanym wyjaśniam, że oba nabytki wraz z aparaturą towarzyszącą potrzebują pomieszczeń dość dużych.

I tak chciałem z okazji rocznicowej pogawędzić o historii telewizji łódzkiej, ale dotknąłem spraw technicznych i koło obsunęło się w utartą koleinę. Chyba lepiej miejsc bolących nie dotykać. A swoją drogą byłoby co powspominać i w związku z rozwojem programu nadawanego przez ŁOT.

Pierwsze miesiące pracy wyłącznie na antenę lokalną. Potem pierwsza transmisja z Warszawy po uruchomieniu łącz, chyba w maju 1957 roku. Nadawano koncert Lucienne Boyer z Sali Kongresowej. Obraz był koloru mleka, czy gęstej mgły, z której wyłaniał się chwilami zarys twarzy śpiewaczki, przechodząc z pozytywu w negatyw i z powrotem. O dźwięku lepiej nie mówić. Muszę przyznać, że w momentach optymalnych obraz był znacznie gorszy od tego, przy którym dzisiaj wrzuca się planszę „Prosimy nie regulować odbiorników"...

Potem ŁOT zaczął sobie wypracowywać czołowe miejsce na antenie ogólnopolskiej. Nastąpiły pierwsze sukcesy Jerzego Antczaka, wysoki lot łódzkiego Teatru Popularnego, wypracowywanie form widowiska rozrywkowego przez Janusza Rzeszewskiego. Tak, to już historia, którą może warto by spisać, uporządkować, zdokumentować fotosami. Czy nie powinno się tym zainteresować Wydawnictwo Łódzkie? Żeby ocalić od zapomnienia.

Czas kończyć te wspominki. Nieco chaotyczne, ale takie jest nie pisane prawo felietonisty. Może warto jednak od czasu do czasu spojrzeć wstecz. Dzisiaj wielu z nas przywykło już traktować telewizję w podobny sposób jak kran w łazience, czy jak kurek gazowy w kuchni. Po prostu coś zwykłego, codziennego. A kiedyś pojawienie się skrzynki telewizora w domu otwierało nowy, inny etap życia...

Ale nie roztkliwiajmy się.

Władysław Rymkiewicz

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

W najbliższym czasie wchodzą na nasze ekrany dwa filmy, które dają widzom i recenzentom znakomitą okazję do naocznego uświadomienia sobie jeszcze raz dwu skrajnych biegunów każdej narodowej kinematografii — filmu artystycznego i filmu komercjalnego. Te dwa bieguny wytyczając drogę działalności ludzi kina, nie wykluczają się nawzajem, stanowią niejako sens i rację istnienia tej najpowszechniejszej ze sztuk jaką jest film. Ludzie czekają bowiem na jedno i drugie: szukają możliwości głębokiego przeżycia intelektualnego i artystycznego, szukają również czystej, relaksowej rozrywki.

Dwa nowe japońskie filmy: „BUNT" M. Kobajaszi i „BECZKA PROCHU" T. Tsuboshimy uznać trzeba za znakomity przykład tej oczywistości, o której wzmiankujemy. Po wielu znakomitych filmach takich mistrzów japońskiego kina jak Kurosawa, Mizoguchi, Kobajaszi i inni przyzwyczailiśmy się nieco do egzotyki samurajskiej sagi filmowej — jej konwencji narracyjnej, stylistycznej i plastycznej. Po pierwszych niespodziankach, szokach nawet, przekonano nas iż w istocie za obrazem średniowiecznym Japonii i przeżyciami samurajskich bohaterów kryją się refleksje i problemy współczesnego człowieka. Dotyczą one sfery doznań psychicznych, obejmują też głębokie problemy moralne i filozoficzne nurtujące społeczeństwa wszystkich krajów. Większość tych filmów dokonuje obrachunku z narodową tradycją, konwencjami samurajskiej proesji, usprawiedliwiającymi wiele zbrodni i podłości, a ciążącymi na narodzie japońskim po czasy drugiej wojny światowej.

Patrząc jednakże na te filmy uświadamiamy sobie, iż to co wydaje się odległą nam egzotyką jest w końcu sprawą bynajmniej nie zamkniętą przez specyfikę japońskiej obyczajowości czy kultury. Problemy samurajskich filmów otrzymują rangę ogólnoludzką i bardzo współczesną.

By nie być gołosłownym spójrzmy na „Bunt" M. Kobajaszi. Historię zbuntowanego samuraja, który wraz ze swym synem nie chce podporządkować się nieludzkim feudalnym prawom niszczącym ich szczęście osobiste, a nawet życie w imię bezwzględnego i honorowego posłuszeństwa wobec władcy, nietrudno odczytać jako przejmujący siłą wyrazu traktat. Jest to traktat na temat miejsca i możliwości człowieka w systemie politycznym, społecznym i obyczajowym bezwzględnie krępującym prawo człowieka do samostanowienia o swym losie. Tyrania i dyktatura systemu a jednostka ludzka to podstawowy konflikt tego filmu, a więc nie tylko, średniowieczna samurajska Japonia. Nietrudno przewidzieć finał tego buntu, pozostaje jednakże pełna akceptacja praw człowieka i wołanie o nie, pozostaje nasza reakcja, nasz wewnętrzny protest przeciw systemowi, który ten głęboko humanistyczny, usprawiedliwiony bunt zdławił. pozostała refleksje pozwalające ogarnąć również problemy współczesności.

Tyle o ogólnej wymowie filmu M. Kobajaszi, pozostaje jednak do naszej oceny całe bezmierne, artystyczne piękno tego filmu. Słowem opisać go nie sposób, tak jak nie sposób oddać słowem piękna arcydzieł każdej ze sztuk. Trzeba je przeżyć, chłonąć mistrzostwo kompozycji każdego nieomal kadru, chwytać grę światłocienia, podziwiać strukturę narracji — trudnej, chwilami obcej naszym przyzwyczajeniom, a jednak wciągającej bez reszty.

Powróćmy jednak na chwilę do owych wzmiankowanych wyżej biegunów kina. Nie tylko dziełami sztuki film żyje, istnieją jeszcze „Beczki prochu", o których pamiętać też trzeba. Przy okazji tego filmu nasuwa się myśl trochę paradoksalna. Nam kinomanom wydaje się iż samurajska Japonia jest dziś dla nas mniej egzotyczna niż Japonia współczesna. Do tamtej przyzwyczaiły nas filmy, których oglądaliśmy już wiele. Znacznie rzadziej widzimy na ekranach Kraj Kwitnącej Wiśni w jego życiu współczesnym.

Choć wiele się słyszy o Japonii zeuropeizowanej czy raczej zamerykanizowanej to jednak japoński James Bond budzi w pierwszej chwili zdziwienie. Szybko go jednak akceptujemy i niczemu się już nie dziwimy. Cieszy nas jedynie to, że jest o wiele sympatyczniejszy, a także szlachetniejszy od swego kolegi po fachu. Tajny agent Interpolu, uroczy Japończyk Kitami na naszych oczach rozprawia się zupełnie samodzielnie a przemyślnie z potężną szajką tajemniczych przestępców, którzy zrzeszeni w Federacji Zjednoczenia Świata groźną przy pomocy nowego wynalazku — promieni S opanować świat.

Oglądamy rzeczy zupełnie nieprawdopodobne, cieszymy się jak dzieci, lecz dzieciom filmu tego nie polecimy. Utrzymana w konwencji „bondowskich" serii „Beczka prochu" jest filmem tyleż natrętnym, co obfitującym w sceny okrutne, a nawet sadystyczne. To już nie zabawa w Sherlocka Holmesa, to nie dżentelmeńskie metody tego ostatniego. Dorośli mogą jednak tę zabawę przyjąć jako niezłą rozrywkę, tym bardziej, że sami twórcy filmu potraktowali rzecz z dużą dozą humoru i mocnym zmrużeniem oka.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NOWA „DAMA KAMELIOWA"

● Powieść Aleksandra Dumasa syna pt. „Dama Kameliowa" była już adaptowana na scenę lub dla filmu. Obecnie amerykański reżyser Bradley Metzger nakręca nową wersję „Damy Kameliowej".

Marie Duplessis którą Dumas opisał jako „Damę Kameliową".

W roli bohaterki powieści, Marguerite Gautier wystąpi aktorka Daniele Gaubert. Twierdzi ona, że obecna rola jest najbardziej fascynująca w jej dotychczasowej karierze filmowej. Daniele Gaubert ma lat 25 i jest najmłodszą odtwórczynią Damy Kameliowej. W roli tej występowały niegdyś Greta Garbo w filmie pt. „Romans Marguerite Gautier", Film z

Daniele Gaubert w roli nowoczesnej „Damy Kameliowej".

Daniele Gaubert kręcony ma być we Włoszech, dialogi będą w języku angielskim. Historia pięknej Marguerite zostanie całkowicie unowocześniona. Nie będzie łóż operowych, buduarów i staroświeckich salonów. Akcja rozgrywać ma się w rzymskiej willi i na jachcie, a zamiast powozów i karet pojawią się nowoczesne auta sportowe. Dama Kameliowa nie umrze na galopujące suchoty, ale z nadużywania narkotyków.

ŚMIERĆ RYSOWNIKA

● W wieku lat 64 zmarł bliski współpracownik Walta Disneya, W. William Peter Tyle. Był on twórcą m. in. rysunkowego filmu o przygodach słonia „Dumbo".

NOWY BALET W AMIENS

● Kosztem 800 tysięcy franków rocznego subsydium powstał w Amiens balet, który ma szeroko zakrojone ambicje twórcze. Ma on interpretować najnowsze, często jeszcze nieznane szerszemu ogółowi, dzieła współczesnych kompozytorów. Choreografia i scenografia będą opracowywane w ścisłym powiązaniu z koncepcją baletową już od momentu jej powstania. Amiens ma stać się centrum baletowym Francji i nowo powstały zespół ma ambicje dorównania poziomem najwybitniejszym zespołom światowym. Kierownictwo stara się o zapewnienie stałej współpracy muzyków, poetów, plastyków w tym także uprawiających malarstwo abstrakcyjne i sztukę kinetyczną. Obecnie balet od września ubiegłego roku przygotowuje „Salome" według muzyki Mirogila i spektakl będący interpretacją muzyki znanego nowoczesnego kompozytora, Xenakisa. W planach baletu jest tournée po Francji, wyjazd do Maroka i Hiszpanii.

RABELAIS NA SCENIE

● W paryskim teatrze „Elysee-Montmartre, wystawiane jest w reżyserii Jean-Louis Barraulta wielkie widowisko oparte na pięciu księgach Francois Rabelais pt. „Gargantua i Pantagruel". Muzykę do spektaklu napisał Michel Polnareff.

Krytyka, zwracając uwagę na pewne niedociągnięcia, podkreśla jednak z naciskiem, że całość jest bardzo udana, a niektóre sceny zrobione doskonale. I tak np. scena z baletem, obrazująca podróż morską, dzięki niesłychanie pomysłowej dekoracji, oryginalnej grze świateł i mistrzowskiej choreografii jest znakomita i widz odbiera wrażenie, że akcja istotnie rozgrywa się na

Gargantua przy stole. Rycina Gustawa Dorè.

okręcie miotanym falami. Sceniczne zilustrowanie pięciu ksiąg, wielkiego dzieła Rabelais'ego było zadaniem trudnym, wymagającym doboru odpowiednich scenicznych środków wyrazu. Przypomnijmy pokrótce, że Rabelais urodził się jako syn adwokata ok. r. 1494 w La Devinière pod Chinon. Otrzymawszy staranne wykształcenie klasyczne zostaje franciszkaninem potem benedyktynem. W roku 1527 opuszcza zakon i studiuje medycynę. Jest następnie lekarzem i publikuje dzieła medyczne. Sławnym staje się dzięki publikacji baśniowych kronik. Pisał je, wydając co jakiś czas jeden z tomów, przez blisko lat trzydzieści. Książki te znamy pod wspólnym tytułem „Gargantua i Pantagruel". Ich treścią jest historia dynastii, poczciwych olbrzymów Tęgospusta, Gargantui, Pantagruela, władców okolicy w pobliżu Chinon w Turenii. Fantastyczne przygody bohaterów opowieści stają się dla autora pretekstem do wyrażania głęboko humanistycznych poglądów, satyrycznego, nawet sarkastycznego traktowania średniowiecznych układów społecznych i średniowiecznych pojęć. Rabelais miłuje życie we wszelkich jego przejawach i twierdzi, że człowiek ma prawo, a nawet obowiązek rozwijania wszystkich swych władz fizycznych i umysłowych, i że wolna natura człowieka nie powinna mieć żadnych ograniczeń. Natura jest dobra, twierdzi Rabelais, a zło rodzi się właśnie z tego co ją ogranicza i co wypacza ludzką naturę.

Dzieło Rabelais'ego wywarło ogromny wpływ nie tylko na francuską myśl Odrodzenia, ale i w sferze języka literackiego. Dzięki temu, że pisarz czerpał z całego olbrzymiego bogactwa mowy ludu francuskiego, wzbogacił do tego stopnia literaturę, że został uznany za ojca nowoczesnej prozy francuskiej.

ATAHUALPA YUPANKI W PARYŻU

● Atahualpa Yupanki, który ostatnio daje recitale w Paryżu jest jednym z najwybitniejszych autorów, kompozytorów i interpretatorów argentyńskich. Ma lat 60, urodzony wśród Indian jest czymś w rodzaju trubadura, który akompaniując sobie na gitarze, głosem chwytającym za serce, śpiewa, o ludziach swego kraju.

Atahualpa Yupanki jest nie tylko muzykiem i pieśniarzem, ale poetą i powieściopisarzem, a także etnologiem. Jedna z jego powieści pt. „Cerro Bayo" została przełożona na język francuski. Po raz pierwszy Atahualpa Yupanki śpiewał w Paryżu w roku 1950 kiedy to występował razem z Edith Piaf.

FILATELISTYKA I TWÓRCY

● W Czechosłowacji ukazała się seria znaczków pocztowych poświęcona wybitnym twórcom XX wieku. Są oni przedstawieni w zabawnych, ale budzących sympatię karykaturach. Reprezentowani są tacy twórcy jak: Ernest

Hemingway, Karel Capek, George Bernard Shaw, Maksym Gorki, Pablo Picasso, Charlie Chaplin.

PRACOWITY PICASSO

● W jednej z paryskich galerii sztuki odbywa się wystawa 347 dzieł grafiki Picassa. Wielki malarz wykonał je w Mougins w czasie bardzo krótkim, bo od dnia 16 marca 1968 roku do 5 października tegoż roku. Pracował codziennie, z wyjątkiem zaledwie kilku dni. Imponująca jest nie tylko szybkość z jaką wielki artysta wykonał swe dzieła i to w różnych technikach (czasem stosował kilka różnych technik graficznych przy jednym i tym samym dziele), nie tylko pewność ręki i czystość linii, ale drobiazgowe wykończenie szczegółów, zwłaszcza w grafikach małych rozmiarów.

Dodajmy, że wydawnictwo „Cercle d'Art" przygotowuje album w opracowaniu poety René Chara poświęcony rysunkom Picassa z ostatnich trzech lat. Książka ukazać ma się na wiosnę tego roku.

Rys. P. Picasso

Bez strachu

MIEJSCE POD ŁÓŻKIEM

Wysokie i niskie miejsce, miejsce najwyższe i najniższe. Położenie ciała rozumiane jako znak społecznego, administracyjnego, sakralnego wreszcie położenia człowieka. Królowie zasiadają na wysokich tronach, niewolnicy klęczą lub leżą twarzą do ziemi. Są to materialne znamiona potęgi lub słabości. O potęgach najwyższych, ponadludzkich mniemano zazwyczaj, że przybędą z nieba, zatem z najwyższego miejsca! Pod niebem była ziemia — miejsce niejako średnie, ojczyzna i siedziba ludzi. Ziemia, miejsce niejako średnie, bowiem pod nią rozpościerały się królestwa podziemne — siedziby potęg przerastających moc ludzką. Potęgi najwyższe miały być wzorem i ostatecznym celem, opatrzone były w układzie mocy i dobroci znakiem +, jeżeli dla potęg ziemskich przyjmiemy znak 0, to potęgom podziemnym dostanie się znak —. Znakowanie to jest jednak zawodne, gdyż potęgi podziemne mimo, że niższe od człowieka przerastają go pod wieloma względami, człowiek zdolny jest im się oprzeć tylko przy pomocy potęg najwyższych i to tylko pod pewnym względem, za cenę mianowicie oddania im swoich O-wych siedzib, które stają się władztwem tych potęg. Tak więc człowiek jest istotą specjalną, ocalieć może tylko przez klęskę, zostanie w układzie —, 0, +, tylko wtedy kiedy z niego ustąpi. Wielu widzi w tym przeznaczeniu olbrzymi paradoks moralny — prawdę o przezwyciężaniu samego siebie. Ja skłonny jestem w tej koncepcji dostrzec genialne prekursorstwo współczesnej astronomii, która przecież wskazując na relatywność fizykalną „dołu", „ziemi" i „góry" obala te pojęcia, stosuje osobliwą introjekcję pakując je do naszego wnętrza, wskazuje na ich subiektywną, człowieczą genezę. Spotkał mnie kiedyś znajomy człowiek czcigodny i bardzo mądry: „A po co pan tyle rozważa!" zawołał „Niech pan mi wierzy lepiej kiedy pan wskazuje, proszę posługiwać się obrazami. Do dzisiaj pamiętam pańskiego włóczęgę gdy siedzi na schodach, czy sądzi pan, że zapamiętałem cokolwiek z pana rozważań?! Dobrze więc widzę, że czas skończyć z rozważaniem i spreparować obraz: Oto leżę pod łóżkiem na podłodze (a więc na powierzchni 0...). Nad głową mam drucianą siatkę i wybrzuszony materac. Na poziomie moich oczu pięty osób zasiadających przy stole, a więc hen wysoko, a więc osób doskonalszych niż ja. Wprawdzie te pięty dość brudne i w dziurawych skarpetach wcale nie sprawiają wrażenia doskonałych, ale czy ja patrząc z tak niska zdolny jestem prawidłowo ocenić pięty osób siedzących wysoko aż przy stole. Zdolny jestem uprzytomnić sobie ich wysoką obecność i wzbudzić w sobie uwielbienie — ach gdyby to chociaż raz w życiu zasiąść do stołu — do stołu, którego nawet nie mogę sobie wyobrazić. Mogę jednak z niewolniczą podłością szybko wysunąć głowę i jadowicie ukąsić jedną z pięt. Przy stole zamęt, krzyk: „Po szczotkę! Wyciągnąć to psisko". Wyciągają mnie i poznają we mnie człowieka. Stawiają przede mną stołowy nektar i ambrozję. Myślę: „Więc żeby się dostać w górne rejony wystarczy ukąsić?!"

BERNARD SZTAJNERI

Od niedzieli do niedzieli

Chwalę snoba!

ZA KARĘ „DO KULTURY" — MILION WIDZÓW NA PUSTYNI — POŁTORA METRA... KSIĄŻEK — SNOB MA TEŻ SWOJ UDZIAŁ.

Przed laty popularna była następujące anegdota: Ogromna sala, rzędy krzeseł ciasno wypełnionych przez oczekujących na rozpoczęcie narady. Na podium stół prezydialny. Oczekujący rozmawiają między sobą.

— Was za co przydzielono do tej roboty?

— Trochę się znam na stolarce. Zbudowałem mównicę na akademię i załamała się w trakcie przemówienia dyrektora. A wy za co?

— Trochę się znam na tokarce. Wyprodukowałem 100 tysięcy śrub bez gwintów...

Na podium wchodzi przewodniczący narady i mówi: otwieram seminarium pracowników kulturalno-oświatowych.

Tak, tak. Były czasy kiedy do pracy „w kulturze" często delegowano ludzi, którzy nie nadawali się do żadnej innej pracy. Zakładano, że jeśli na tym odcinku „zawalą", to i tak szkody będą mało widoczne. Oczywiście anegdota przesadza i wyolbrzymia, ale... Długi jeszcze żywot miało zawołanie pewnego działacza organizującego pochód pierwszomajowy. „Kultura na końcu, kultura na końcu" — wołał on do oczekującej kolumny pracowników kultury, którzy zbyt wcześnie chcieli się włączyć w maszerujące szeregi.

Dziś mamy to już za sobą, ale etykietka „zła miasto" nieraz się jeszcze pojawia, choć tego miasta, o którym przed ponad pół wiekiem pisał Zygmunt Bartkiewicz, dawno już nie ma. Mimo to jeszcze i dziś niektórzy mówią o Łodzi per „pustynia kulturalna". Oczywiście więcej w tym wypadku złej woli i złośliwości, niż znajomości rzeczy. Cóż to za „pustynia", która w ciągu jednego roku może się doliczyć miliona trzystu tysięcy widzów teatralnych?

Cyfry są bezwzględne. Jeśli porównamy je z liczbą mieszkańców Łodzi, okaże się, że jesteśmy najbardziej teatralnym miastem w Polsce. To żadne przechwałki — bijemy w tym względzie na głowę ośrodki o tradycjach wiekowych.

W wielu zresztą dziedzinach kultury możemy ową dynamikę wzrostu dostrzec. Choćby w czytelnictwie. Biblioteka Miejska im. Ludwika Waryńskiego startowała w 1945 roku z zasobem... 5 tysięcy książek. Dziś w ogromnych magazynach znajduje się ponad 250 tysięcy tomów. We wszystkich naszych miast bibliotekach publicznych — a będzie ich w końcu bieżącego roku 85 — ponad milion woluminów. Ale przecież czytelnictwo to nie tylko zasoby bibliotek publicznych. Kupujemy książki do naszych domowych bibliotek i to nie tylko od wielkiego dzwonu Dni Książki. Regały są jednym z bardziej poszukiwanych mebli w łódzkim „Domusie". Rodzi się nawet nowy rodzaj snobizmu — mieć regał z książkami, bo inaczej grozi towarzyska klęska.

Opowiadano mi jak do pewnej księgarni wszedł sympatyczny pan, rozejrzał się trochę bezradnie i powiedział: „Chciałbym kupić parę książek". „Jakich i ile" spytano uprzejmie. — „No tak mniej więcej na półtora metra długości" — odpowiedział.

Okazało się, że kupił meblościankę z półką na książki. Zaproponowano mu „Bibliotekę Powszechną" (niska cena, kolorowe okładki) — klient wyszedł zadowolony „meblować" swoją meblościankę. Myślę jednak, że czasem sięgnie na półkę.

Nie ręczę za prawdziwość tej „opowieści zasłyszanej", ale jeśli nawet jest nieprawdziwa to przynajmniej dobrze zmyślona. Zresztą tego rodzaju snobizm jest czynnikiem pozytywnym. Snobizm to znaczy także ambicja doszlusowania do wyżej stojących od nas, to ambicja choćby tylko kibicowania nauce, sztuce, literaturze... Wolę snoba kupującego książki „na metry" niż nie-snoba, który „do poduszki" bierze wyłącznie książeczkę samochodową PKO.

Fakt, że Łódź staje się coraz bardziej prężnym ośrodkiem kultury zawdzięczamy polityce władz: ogromnym inwestycjom w tej dziedzinie; milionom złotych przeznaczanych na teatr, książkę, plastykę. Ale w fakcie, że istnieje w Łodzi także atmosfera kultury, swój skromny udział ma także poczciwy łódzki snob.

Dlatego też chwalę snoba a tym którzy bredzą o „pustyni kulturalnej" odpowiadam językiem młodzieżowym: „mowa trawa Warszawa — sianokosy — ksiądz bikiniarz". Czyli — nie trujcie kochani.

JERZY WIDOK

SOMERSET MAUGHAM

Sznur pereł

— Jak to miło, że posadzono mnie obok pana — powiedziała Laura, gdy siadaliśmy do stołu.

— Bardzo się z tego cieszę.

— Ja pewnie więcej. Chcę panu opowiedzieć pewną historię.

— Wolałbym, aby pani mówiła o sobie. Lub nawet o mnie.

— Myślałam, że się pan ucieszy. To prawdziwa historia, zdarzyła się u moich przyjaciół. Byłam u nich wówczas. Czy zna pan Livingstonów?

— Nie, chyba nie.

— Może ich pan zapytać, potwierdzą każde moje słowo. Siadaliśmy właśnie do obiadu. Poprosili też guwernantkę, bardzo miłą pannę Robinson. Może miała dwadzieścia lat i była dość ładna. Miała doskonałe referencje ze swoich poprzednich posad, była spokojną, elegancką dziewczyną. Ojciec jej był chyba pastorem.

Wśród gości znajdował się jeden pan, który cieszy się wielką sławą w swoim zawodzie. Jest to niejaki hrabia Borselli, wielki znawca szlachetnych kamieni i klejnotów. Podobno wie o nich więcej, niż ktokolwiek na świecie. Siedział obok Mary Lyngate, która bardzo szczyci się swoimi perłami i w ciągu towarzyskiej rozmowy spytała go, jak mu się jej sznur pereł podoba. Powiedział, że bardzo ładne.

— Szacują go na osiem tysięcy funtów.

— Tak — odpowiedział — prawdopodobnie tyle jest wart.

Naprzeciw siedziała panna Robinson. Znałam oczywiście jej suknię, była to stara suknia Zośki Livingston. Ale panna Robinson wyglądała w niej szykownie i elegancko.

— Ta młoda panna ma wyjątkowo piękne perły — powiedział nagle Borselli.

— Ależ to tylko guwernantka Livingstonów.

— Pomimo to nosi jedne z najpiękniejszych pereł, jakie widziałem w życiu. Muszą być warte dobrze ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów.

— Absurd! — Mary Lyngate zawołała do panny Robinson. — Wie pani co mówi hrabia Borselli? Twierdzi, że sznur pereł, który pani ma na szyi jest wart pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zapanowało nagłe milczenie, a panna Robinson roześmiała się.

— No, to mi się udało. Zapłaciłam za nie piętnaście szylingów.

Wszyscy się roześmieli. Cała sprawa była absurdalna. Znamy historyjki o żonach, które wmawiają mężom, że ich prawdziwe, piękne perły są tylko doskonałą imitacją. Takie bajki są stare, jak świat.

— Dziękuję — powiedziałem, przypominając sobie, że sam na ten temat pisałem.

— Ale śmieszne jest myśleć, że guwernantka pozostałaby guwernantką posiadając sznur pereł wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów. Jasne było, że hrabia popełnił gafę. Ale nagle zdarzyło się coś niespodziewanego. Do jadalni wszedł służący, pochylił się nad panną Robinson i coś jej cicho szepnął do ucha. Zobaczyłam, że nagle zbladła.

— Proszę pani — zwrócił się do pani Livingstone — w hallu jest dwóch mężczyzn, którzy podobno chcą ze mną mówić.

— No, to niech pani do nich wyjdzie.

Panna Robinson wstała od stołu i poszła do hallu. Wszyscy obecni prawdopodobnie myśleli to samo ale ja pierwsza wypowiedziałam tę myśl.

— Mam nadzieję, że nie przyszli ją aresztować. Byłoby to okropne dla nas wszystkich.

— Hrabio Borselli, czy na pewno są to prawdziwe perły?

— Z całą pewnością.

— No przecież nie miałaby tyle tupetu, aby włożyć dzisiaj sznur skradzionych pereł! — prawie mimo woli sprawdziłam czy mam jeszcze na szyi mój skromny łańcuszek z brylantów.

— Nie gadajcie głupstw — odezwał się pan Livingstone — a gdzież by ona miała okazję ukraść tak cenny sznur pereł?

— Może jest paserką?

— Ależ miała tak doskonałe referencje, gdy ją przyjmowałam — zauważyła pani Livingstone.

— Zawsze mają wspaniałe referencje.

Przerwałem Laurze to ciekawe opowiadanie.

— Byliście widocznie zdecydowani, aby całą sprawę brać od możliwie najgorszej strony.

— No, oczywiście nie wiedziałam nic o pannie Robinson i wydawała mi się bardzo miłą osobą. Ale byłoby przecież fascynujące, gdyby się okazała znaną złodziejką lub członkiem jakiegoś międzynarodowego gangu.

— Zupełnie jak w kinie. Ale tylko w filmach zdarzają się tak interesujące rzeczy.

— Czekaliśmy w najwyższym napięciu — ciągnęła Laura dalej. — Cisza, panująca w hallu wydawała się bardzo niepokojąca. Ale nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła panna Robinson. Od razu zauważyłam, że nie nosi już pereł. Widziałam, że jest blada i podniecona. Podeszła bliżej i rzuciła na stół sznur pereł.

— Oto mój naszyjnik — powiedziała.

Hrabia Borselli przypatrzył się perłom.

— Są fałszywe — powiedział.

— Mówiłam przecież, że są fałszywe — roześmiała się.

— To nie są te same perły, które pani nosiła przed chwilą.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się tajemniczo. Okazuje się, że w hallu czekało na nią dwóch panów, którzy byli pracownikami sklepu Jarrota. Tam właśnie kupiła swoje perły, zgodnie z tym, co nam powiedziała, za piętnaście szylingów, i po kilku dniach odniosła je do reperacji, bo zameczek był zepsuty. Odebrała je dopiero dzisiejszego popołudnia. Panowie od Jarrota stwierdzili, że omyłkowo wydano jej cudze perły. Ktoś dał swoje perły do przewleczenia do Jarrota i przy oddawaniu zaszła pomyłka. Jarrot to taka firma, że pewnie nie umieją rozróżnić fałszywych pereł od prawdziwych. Chyba zupełna idiotka powierzyła im cenny sznur. W każdym razie pannie Robinson wydano perły wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów. Oczywiście, oddała od razu te perły dwóm urzędnikom i powiedzieli, że choć nie mają takiego obowiązku, właściciele firmy postanowili dać jej na otarcie łez czek wysokości trzystu funtów. Panna Robinson pokazała nam ten czek — była zachwycona i rozanielona.

— No, rzeczywiście dobrze jej się to ułożyło.

— Tak by się wydawało. Jak się okazało, była to katastrofa.

— Och, dlaczego?

— Gdy nadeszła pora jej wakacji panna Robinson powiedziała Livingstonom, że postanowiła pojechać do Deauville i przepuścić całe trzysta funtów. Próbowali jej to wyperswadować, namawiali, aby odłożyła pieniądze na książeczkę, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Mówiła, że raz w życiu ma taką okazję i zamierza ją wykorzystać. Chciała przez cztery tygodnie żyć jak hrabina. Zosia Livingston nie mogła jej przekonać, wobec czego upchała jej wszystkie suknie, których chciała się pozbyć. Mówi, że je podarowała, ale przypuszczam, że wzięła za nie ładną forsę. I jak pan myśli, co było dalej?

— Nie mam zielonego pojęcia. Mam nadzieję, że świetnie się bawiła.

— Tydzień przed zakończeniem wakacji przyszedł list, w którym panna Robinson donosiła, że wszystkie jej plany uległy zmianie, że ma teraz inny zawód i że więcej nie powróci do Livingstonów. Biedna Zosia była oczywiście wściekła. A prawda była taka, że panna Robinson znalazła sobie w Deauville bogatego Argentyńczyka i pojechała z nim do Paryża. I pozostała już w Paryżu. Ja sama spotkałam ją w restauracji, z bransoletami na obu ramionach i sznurami pereł dokoła szyi. Podobno ma ładny dom i wiem, że posiada Rolls Roycea. Po Argentyńczyku trafiła na Greka. Nie wiem z kim żyje teraz, ale podobno jest jedną z najszykowniejszych kokotek Paryża.

— Gdy pani powiedziała, że nastąpiła katastrofa, użyła pani tego wyrażenia w sensie ściśle technicznym, czy tak?

— Nie wiem, co chce pan przez to powiedzieć, ale czy nie jest to dobry temat do powieści?

— Niestety napisałem już kiedyś nowelę o sznurze pereł. Nie można stale pisać o perłach.

— Może ja sama napiszę o tym. Ale dam inne zakończenie.

— A jakie?

— Napisałabym, że była zaręczona z urzędnikiem bankowym, który został ciężko ranny podczas wojny, może że stracił rękę lub nogę. Byliby bardzo biedni i nie mieli możliwości pobrania się, chociaż on odkładał każdy grosz. A potem ona dostałaby ten czek na trzysta funtów i on rozpłakałby się jak dziecko. I kupiliby mały domek na przedmieściu, jego stara matka mieszkałaby z nimi, on pracowałby dalej w banku, a ona by go pielęgnowała i dogadzała we wszystkim — bardzo patetyczne i urocze i romantyczne.

— Dla mnie brzmi to dość nudnawo — zauważyłem.

— Może. Za to jest moralne — powiedziała Laura.

(opr. m. r.)

Fot. Zbigniew Hałatek

Lewym okiem

W ZWIĄZKU Z KARNAWAŁEM

Mamy więc karnawał, a to nie tylko okres zabaw, balów i uciech rozmaitych, ale także sezon na zawieranie małżeństw. Żenią się ludzie na potęgę, rozwodzą się chętniej niż kiedykolwiek, uczeni demografowie rozprawiają o kryzysie dwuosobowej „komórki społecznej", o widocznej tendencji do poligamii i do „małżeństw grupowych", czyli kilku panów z kilkunastoma paniami, jak kto może. To już w historii bywało, moda — jak wiadomo — lubi powracać.

Małżeństwo od bardzo dawnych czasów było i jest przedmiotem milionów anegdot i żartów, wciąż chętnie powtarzanych i słuchanych. Dorzućmy więc i my do tego almanachu parę luźnych, nietrasobliwych, a naukowo udokumentowanych przyczynków — niech będą płochą, karnawałową rozrywką, przypomnieniem, przestrogą.

Quintus Metellus, orator rzymski, takimi słowy zaczął mowę o małżeństwie: „Rzymianie! Gdybyśmy mogli obejść się bez małżonek, zapewne nikt z was nie chciałby obarczać się takim ciężarem, ale ponieważ natura stworzyła człowieka w ten sposób, że nie można być szczęśliwym z kobietą, ani żyć bez niej, więc myślmy raczej o zachowaniu naszego rodu, niż o szczęściu osobistym."

Innymi słowy: ja wiem, że to żadna przyjemność, ale skoro inaczej rodu zachować nie można...

Historyk Diodor z Sycylii, również Rzymianin, twierdził, że w starożytnym Egipcie mężczyzna przysięgał posłuszeństwo żonie, która nie była nawet obowiązana do przebywania z małżonkiem pod jednym dachem. Kobieta egipska nosiła ostentacyjnie pierścienie, których ilość świadczyła o ilości miłosnych podbojów. Nigdzie — powiada Diodor — nie rozwielmożniła się do tego stopnia przewaga kobiety i z bardziej opłakanymi skutkami. Straszne czasy, proszę panów. Jak ci pantoflarze potrafili się jeszcze zdobyć na budowę piramid?

Przeważnie jednak bywało odwrotnie — mężczyzna był głową, on się tylko liczył. Dumont d'Urville w dziele pt. „Podróż naokoło świata" wspominał, że piraci filipińscy żądali wysokich okupów za porwanych mężczyzn, a kobiety zwracali za darmo. „Oni nie przypuszczają, pisał Francuz, żeby kobieta jakąkolwiek wartość przedstawiać mogła; jest to dla nich towar wysortowany."

Na Madagaskarze w czasie zaślubin państwo młodzi otrzymują rogowe łyżki: rogi są tam symbolem małżeńskiej spójni, bogactwa i szczęścia. „Ty rogaczu!" — mówi się tam z zazdrością do szczęśliwego rywala...

W Australii kobieta, niezadowolona z męża, ucieka od niego i zostaje żoną tego, kto ją pierwszy dogoni. Kroniki milczą o tym, co się dzieje, gdy dogoni ją ten sam małżonek.

W środkowej Afryce żona zobowiązana jest dochować wierności mężowi przez tyle dni w tygodniu, ile sztuk bydła za nią zapłacił. I znów nie wiemy, czy siedem krów załatwia tam sprawę wierności w sposób absolutny. Mogą przecież zachodzić pomyłki przy liczeniu do siedmiu.

W Cyrenaice odkryto napis na skale, pochodzący z V wieku, a głoszący, że: „Wspólność kobiet i dóbr jest źródłem sprawiedliwości i najwyższego szczęścia". Być może, że autorem napisu był satyryk, którego trzeba odczytywać a rebours, a może był to urwis, podrywacz i złodziejaszek. Napis w każdym razie powstał i świadczy o wielkiej żywotności niektórych problemów społecznych.

Od z górą dwustu lat znane są już ogłoszenia matrymonialne w prasie. Nikt się nie gorszył anonsem w Gazecie Frankfurckiej z 8 lipca 1738 roku: „Młoda i uczciwa panna, bardzo ładna i o zgrabnej figurze, poszukuje kawalera adwokata w celu wywindykowania należnego jej spadku; w zamian za to ofiarowuje mu się za małżonkę i obiecuje być dobrą i wierną żoną".

Skąd to wszystko wiem? Z zabawnej książeczki, reklamowanej zresztą jako dzieło naukowe, wydanej w 1904 roku pt. „Małżeństwo u różnych narodów". Autor — Henryk d'Almeras — podsumowuje w posłowiu: „Mężczyzna o ile inteligencją lub charakterem wybiega ponad poziom przeciętny, czuje się w małżeństwie skrępowany. Kobieta przeciwnie — żyje w nim, jak ryba w wodzie. Jest uszczęśliwiona, że ma zawsze pod ręką męża, DO KTÓREGO MOŻE MÓWIĆ, pominąwszy już noc, PRZEZ DZIEŃ CAŁY, a który według prawa obowiązany jest słuchać jej, A NAWET ODPOWIADAĆ!"

Biedny d'Almeras! Pewnie był nieprzeciętnie inteligentny i dlatego czuł się skrępowany, musząc nie tylko przez cały dzień słuchać gadania żony, ale jeszcze w dodatku odpowiadać na jej pytania. Otóż i macie rozkosze stanu małżeńskiego. Zastanówcie się. —

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Konrad Frejdlich Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 109. I. P-4.